Sztuka i filistrzy
Jan Górec-Rosiński

Lekcja rysunków
Leszek Płażewski

O Park na Roztoczu
Dominik Fijałkowski

Mój pierwszy krytyk
Czesław Kuriała

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 25 III 1973 Nr 6 (518) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Rezerwy na dłoni

Pokażą za rok?

Marek Adam Jaworski

W przededniu Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej w Lublinie rozpoczynamy publikację cyklu reportaży i artykułów pod wspólnym tytułem „Rezerwy na dłoni". Obserwacje, poczynione w poszczególnych powiatach naszego województwa, wskazują jak na co dzień zmienia się styl pracy instancji i organizacji partyjnych. Nowy klimat polityczny wyzwala też inicjatywę społeczną, ludzie otwarcie mówią o tym co ich cieszy, a co boli, zastanawiają się, co należy uczynić, aby żyło im się lepiej, dostatniej. Partia, jak zawsze, znajduje się w głównym nurcie bogatego życia naszego kraju, województwa, powiatu, gminy...

POSIEDZENIE egzekutywy KP PZPR w Radzyniu rozpocznie się za pół godziny. Jest chwila czasu na wypicie kawy. I sekretarz KP, tow. Czesław Staszczak, nie zdążył jeszcze podnieść łyżeczki do ust: w sekretariacie czeka interesant. „Jakaś ważna persona" — myślę, bo tow. Staszczak przeprasza i zostawia mnie sam na sam z sekretarzem rolnym, tow. Ryszardem Pilusiem. Widzimy się po raz pierwszy, badamy nawzajem wzrokiem. Chciałoby się o wiele spraw zapytać. Szczerze mówiąc, najbardziej interesuje mnie, jak sobie radzi nowy szef, czyli Pierwszy, z którym łączy mnie nić sympatii jeszcze z czasów nie tak znów odległych, gdy pracował w Wojewódzkim Ośrodku Propagandy Partyjnej w Lublinie. Partia w coraz większym stopniu właśnie młodym powierza odpowiedzialne zadania. Sekretarz rolny, też z pokolenia trzydziestolatków, niedawno dyrektorował w pobliskim Kocku, ucząc wiedzy rolniczej. Teraz zakres pracy zwiększył się kilkakrotnie.

— Ale, towarzyszu — mówi, jakby uprzedzał pytanie — ta robota daje bardzo dużo zadowolenia! Jesteśmy tu krótko, towarzysz Staszczak od grudnia 1971 roku, chcemy czegoś dokonać. Jak odejdziemy, to niech przynajmniej zostaną po nas dobre wspomnienia! Tyle trudnych spraw nagromadziło się przez lata, w ciągu kilkunastu miesięcy nie mogliśmy rozwiązać wszystkich problemów, a niekiedy biją nas jeszcze za stare, nie nasze grzechy...

Tow. Staszczak wraca zdenerwowany:

— Jeszcze jedna tak zwana ludzka sprawa.

— Dlaczego tak zwana?

— Żartuję. Pijak. Pracował w PKS-ie. Uchlał się. O mały włos nie doszło do tragedii. Miał we krwi 2,55 promile alkoholu. Odwołał się do Warszawy. Przysłali tu takie pismo, żebym mu pomógł załatwić pracę. I ja mam takiego pijaka popierać? Grozi, że jak odmówię, to dopiero pokaże! Zdenerwował mnie od rana. Przecież my teraz stale mówimy dyrektorom, prezesom: towarzysze, musicie walczyć z pijaństwem w sposób jak najsurowszy, jak najostrzejszy, bo tego marginesu społecznego mamy w naszym powiecie naprawdę dużo. Zbyt wiele tu przepijają.

— A ile wydają na książki?

— Eee! Lepiej nie mówić. Ale na nawozy — 95 milionów złotych...

— I uważają, że są drogie! — wtrąca tow. Piluś.

— Tak... Zbudowaliśmy zakład mleczarski. Przerabia na dobę 160 tysięcy litrów mleka. Kosztował 100

Dokończenie na str. 6—7

Stanisław Ciechan: „Palacz" to tylko potoczne określenie. W istocie nazywamy się „wypalaczami klinkieru"...
Fot. CAF (Z. Jaśkiewicz)

ZNANI I NIEZNANI

DELEGAT

Mirosław Derecki

MIEJSCE, w którym stoję, to jeden z najbardziej newralgicznych punktów cementowni „Chełm 1". A co ciekawsze — prawie pozbawione obecności ludzkiej. Pełna automatyzacja. Osiem pieców obsługuje trzech palaczy, dwóch smarowników i dwóch wykwalifikowanych robotników czuwających nad pracą komór pyłowych. Zresztą daleko by szukać u owych palaczy przynależnych im od wieków „atrybutów" — łopaty i szufli. „Palacz" to tylko potoczne określenie: w istocie przysługuje im miano „wypalaczy klinkieru", a ich narzędzia produkcji to rozległe szafy sterownicze migające kolorowymi światełkami, zabudowane zegarami, pod którymi wiszą tablicaki: „Sterowanie pieca", „Sterowanie ślimaków", „Temperatura w komorze kurzowej", „Sterowanie ekshaustora", „Pomiar szlamu"...

Każdy piec to stalowa, lekko ukośnie położona rura, długości 110 m i o średnicy 3,5 m. Kręci się wokół własnej osi z szybkością jednego obrotu na minutę. W części końcowej, w rejonie „komory spiekania", tam, gdzie temperatura dochodzi do 1 600 stopni C, piec wyłożony jest najwyższej jakości cegłą magnezytową. Jedna taka cegła kosztuje tyle, co kilogram masła. Przed komorą spiekania, w „strefie krzyżakowej", daje się już „tylko" cegłę szamotową, a w tzw. „strefie łańcuchowej" — szczególnie wytrzymałą na ścieranie cegłę klinkierową.

Do wlotu pieca ogromne pompy wstrzykują co 33 sekundy trzysta litrów szlamu — papki złożonej z kredy, marglu i w 43 procentach z wody. Dla osiągnięcia jednej

Dokończenie na str. 6

Mój pierwszy krytyk

Czesław Kuriała

CZĘSTO uczestnicy spotkań autorskich są ciekawi okoliczności związanych z debiutem literackim pisarza. Zazwyczaj ulegam ich namowom i wspominam o swoich perypetiach w okresie, kiedy mając napisanych kilkanaście wierszy — postanowiłem choćby jeden z nich zamieścić w prasie.

Po pierwszym roku studiów na uniwersytecie w Poznaniu przyjechałem na wakacje do Koszalina. Zamieszkałem przy ulicy Jasnej — pamiętam dobrze tę uliczkę. Jak w czasie wakacji w szkole średniej, i tym razem chciałem znaleźć jakąś okresową pracę, aby zarobić kilka groszy na swoją dalszą edukację. Podobnie jednak jak ulica Miła u Broniewskiego nie jest taka miła, i moja koszalińska ulica Jasna okazała się również nie taka jasna. Z pracą dla młodego człowieka z wykształceniem ogólnokształcącym nie było łatwo, zwłaszcza, iż chodziło o zatrudnienie tylko na krótki, wakacyjny okres. Szukając więc dorywczo zajęcia, siadłem nad plikiem swoich rękopisów poetyckich, aby je podszlifować i wysłać do prasy. Dla każdego piszącego wiersze i nigdy jeszcze nie drukującego, decyzja wysłania ich do czasopisma jest decyzją trudną, heroiczną. Jednakże zdecydowałem się na to i z bijącym sercem zaniosłem na pocztę trzy listy polecone. W każdym z nich znajdowało się sześć tych samych utworów poetyckich. Po prostu w ten sposób chciałem zwiększyć swoje szanse druku, o którym tak bardzo marzyłem. A nuż któremuś z redaktorów trzech czasopism spodoba się choćby jeden mój wiersz?

Po powrocie z poczty czekałem z niecierpliwością na odpowiedzi. I były to dni, które nie dadzą się porównać do niczego, może mają jedynie pewne podobieństwo do chwili, gdy śmiertelnie zakochany chłopiec oczekuje na list dziewczyny, nie okazującej w stosunku do niego zbyt wielkiej przychylności. Słowem, nastąpiły upiorne dni wyczekiwania na odpowiedzi z redakcji, do których po raz pierwszy w życiu wysłałem płody swojej wyobraźni i najintymniejszych przeżyć. Wiedziałem, że autor chcący zadebiutować, na odpowiedź redaktorów musi czekać bardzo długo; próbowałem więc siebie uzbrajać w cierpliwość. Jakież było moje zdziwienie, gdy już po upływie kilku dni otrzymałem list od jednego z pism. Drżącymi rękami rozerwałem kopertę. Znalazłem w niej sześć swoich wierszy i list mniej więcej takiej treści, cytuję nie dosłownie, ale tak, aby najpełniej oddać treść tamtego listu:

...Kolego, rzuć pióro, ono sławy koledze nie przyniesie. Wiersze są bez jakiejkolwiek wartości i nie ma w nich krzyny poezji. Po co marnować papier i atrament, po co marnować czas, raczej należy zająć się inną, pożyteczną pracą, bo wiersze kolegi nie przyniosą nikomu, ani ich autorowi, ani czytelnikom, żadnego, ale to żadnego pożytku...

Oczywiście, w liście były serdeczne, a jakże, serdeczne pozdrowienia i na moje szczęście, jak się później okaże, czytelny podpis redaktora działu poezji. Rzecz jasna, że taka odpowiedź pogrążyła mnie w czarnym, bezdennym smutku. I natychmiast ulica Jasna, przy której mieszkałem, przestała być jasną, a stała się czarna jak noc. Odsuwając myśli o odpowiedziach z pozostałych dwóch gazet, tym energiczniej zabrałem się do szukania dorywczej pracy. Teraz dopiero zacząłem się bać naprawdę. Ja przecież do wszystkich trzech czasopism posłałem te same wiersze! Mogę więc otrzymać jeszcze gorsze odpowiedzi.

I w tym stanie spotęgowanego smutku przeżyłem znowu kilka dni. Wreszcie następny list, na kopercie nazwa kolejnego czasopisma, do którego wysłałem wiersze. Chwi-

Dokończenie na str. 5

teatrnn.pl

KULTURA 1973

Literatura

◆ W plebiscycie na „Premierę roku 1972", ogłoszonym przez redakcję programów literackich Polskiego Radia, pierwszą nagrodę zdobyło słuchowisko Jerzego Janickiego „Ballada o sławnych braciach Bodziakach" w reżyserii Zdzisława Nardellego.

◆ Wydawnictwo Morskie wydało tom wierszy, fraszek i listów do córki pisanych wierszem, których autorem jest Józef Wybicki, twórca słów do Mazurka Dąbrowskiego.

◆ Wydawnictwo Poznańskie zapowiada opublikowanie nieznanego dotychczas drugiego tomu „Życiorysu własnego robotnika" Jakuba Wojciechowskiego.

◆ 15-letni Roman Turek, niedawny laureat nagrody „Profilów", pisze książkę pt. „Na swoje", poświęconą dziejom parcelacji ziemi pod Łańcutem oraz ukończył „Topiel", relację z pierwszych miesięcy okupacji hitlerowskiej.

◆ Teodor Parnicki kończy dla PIW-u powieść historyczno-fantastyczną „Gdyby Julian".

◆ Wkrótce minie setna rocznica ukazania się powieści Elizy Orzeszkowej „Marta" — pierwszego w naszej literaturze pięknej głosu, domagającego się prawa kobiety do nauki i pracy. „Martę" przetłumaczono na języki rosyjski, czeski, niemiecki, szwedzki, holenderski i esperanto.

◆ W ramach współpracy środowisk literackich Zielonej Góry oraz Frankfurtu nad Odrą powstaje dwujęzyczna antologia 9 poetów zielonogórskich i 8 frankfurckich.

◆ Związek Radziecki przystąpił do międzynarodowej konwencji w sprawie ochrony praw autorskich.

Teatr

◆ W 125 rocznicę prapremiery krakowskiej, Teatr Stary w Krakowie wystawił „Dziady" Mickiewicza w reżyserii Konrada Swinarskiego. Przedstawienie trwa 4 godziny, zaczyna się już w foyer, gdzie siedzą „dziady" żebrząc u publiczności. W roli Gustawa-Konrada młody aktor Jerzy Trela. Oryginalna inscenizacja wywołała żywe dyskusje wśród krytyków i widzów.

◆ IV Międzynarodowy Festiwal Teatrów Studenckich odbędzie się w październiku we Wrocławiu.

◆ Z okazji Roku Kopernikowskiego Warszawska Opera Kameralna wystawiła balet Jerzego Maksymiuka do libretta Joanny i Jana Kulmów pt. „In medis vero omnium residet sol". Narratorem jest Wojciech Siemion.

◆ We Wrocławskiej Operze odbyło się dwusetne przedstawienie „Traviaty" G. Verdiego. W kwietniu kilku solistów wrocławskich wystąpi w Mińsku, natomiast w maju we Wrocławiu artyści z Mińska w „Cyganerii" Verdiego.

◆ „Carmen" Bizeta wystawiła Państwowa Opera Bałtycka w Gdańsku.

◆ W ciągu 6 tygodni w 14 największych miastach Japonii wystąpił z 30 spektaklami zespół baletowy Akademickiego Teatru Muzycznego z Moskwy.

Sztuka

◆ Na konkurs na plakat pierwszomajowy nadesłano 154 prace. Pierwszą nagrodę otrzymał Tadeusz Ciałowicz z Wrocławia.

◆ Z okazji 50-lecia pracy twórczej Ludomira Sleńdzińskiego w warszawskim Muzeum Narodowym odbyła się retrospektywna wystawa jego dzieł malarskich, wśród których dominują portrety osadzone w pejzażu.

◆ Przy okazji budowy Trasy Łazienkowskiej w Warszawie zostanie odbudowany Pałac Ujazdowski, zbudowany w XVII wieku przez Zygmunta III.

◆ W dawnej winiarni Fukierów na Starówce w Warszawie otwarto Muzeum Winiarstwa. Jeszcze w tym roku odbędzie się tam wystawa „Wino i winorośl w malarstwie, grafice i rzeźbie".

◆ Na międzynarodowym konkursie „Europejscy fotografowie" w Berlinie Zachodnim fotografik poznański Marian Kucharski zdobył złoty medal.

◆ 400 eksponatów zgromadzono na wystawie rzeźby rosyjskiej w drewnie, zorganizowanej w Grand Palais w Paryżu. Wśród eksponatów cerkiew z XVII wieku, zbudowana bez użycia gwoździ i pił, a jedynie przy pomocy toporów.

Muzyka

◆ Z udziałem solistów i ekip z Polski, ZSRR, Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Rumunii i Węgier rozpoczęła się druga Międzynarodowa Wiosna Estradowa. Występy odbywają się w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Bydgoszczy, Katowicach i Kielcach.

◆ Laureatami Nagrody Krytyki na IV Biennale Muzycznym w stolicy NRD zostali: śpiewaczka Halina Łukomska oraz Poznański Zespół Instrumentów Perkusyjnych pod dyr. J. Zgodzińskiego.

◆ Radziecki kompozytor Karen Chaczaturian ukończył poświęcone pamięci Włodzimierza Lenina oratorium „Moment dziejów", nawiązujące do wydarzeń roku 1918.

Film i Telewizja

◆ Ekranowa wersja „Chłopów" jest już na ukończeniu i pojawi się w kinach zapewne jeszcze przed wakacjami.

◆ Janusz Morgenstern rozpoczął realizację siedmioodcinkowego serialu telewizyjnego „SOS" — współczesnego filmu sensacyjnego, który za rok powinniśmy zobaczyć na małych ekranach.

◆ Z udziałem reżyserów i głównych aktorów w kinie „Marigny" przy Polach Elizejskich w Paryżu odbyła się światowa premiera filmu „Kopernik".

◆ Telewizje ZSRR i NRD mają nakręcić kilkuodcinkowy kolorowy film telewizyjny o życiu i działalności Karola Marksa.

◆ W Moskwie otwarto wielką wystawę, poświęconą pamięci Wsiewołoda Pudowkina, jednego z najwybitniejszych twórców współczesnego kina, reżysera i teoretyka. Jest on m. in. autorem słynnej trylogii: „Katka", „Koniec Sankt-Petersburga" i „Potomek Dżyngis Chana". W roku bież. mija 80-lecie urodzin i 25-lecie śmierci Pudowkina.

◆ Reżyser radziecki, Wasilij Ordyński, rozpoczął zdjęcia do złożonego z 13 kolorowych odcinków serialu telewizyjnego, opartego na trylogii „Droga przez mękę" Aleksego Tołstoja. Ponieważ zdaniem reżysera sceny batalistyczne źle wychodzą na małym ekranie, wojna światowa pokazana zostanie tylko w trzech fragmentach.

Różne

◆ Literaci polscy i węgierscy podpisali porozumienie na rok 1973 o wymianie pisarzy, tłumaczy i krytyków.

◆ W roku bieżącym odbędzie się w Polsce 13 międzynarodowych imprez kulturalnych oraz ponad 20 ogólnopolskich z udziałem zagranicznych zespołów i solistów.

◆ Na V Zjeździe ZSMW wszyscy delegaci otrzymali tomik poezji członków KKMP pt. „Twarzą do słońca". I rzecz niebywała: tomik drukowano dziesięć dni!

◆ Mamy w Polsce 13 560 zatrudnionych bibliotekarzy, ale 60 proc. z nich nie posiada wymaganych kwalifikacji. Organizuje się dokształcanie, dzięki któremu w 1980 r. procent ten ma wynieść tylko 25.

◆ W ZSRR wydaje się rocznie ok. 80 tys. tytułów. Pierwsze miejsce zajmuje tematyka techniczna, drugie — nauki polityczne, trzecie literatura piękna (ok. 8 tys. tytułów). W USA wydaje się taką samą ilość tytułów, ale pierwsze miejsce zajmuje literatura piękna (8,2 tys. tytułów), drugie nauki polityczne.

Lubliniana

◆ Na recitalu chopinowskim Haliny Czerny-Stefańskiej w Filharmonii sala (i estrada) były wypełnione do ostatniego miejsca. Ponad 90 proc. słuchaczy stanowiła młodzież.

◆ Michał Tarka, emerytowany sędzia Sądu Wojewódzkiego, napisał 600-stronicową pracę pt. „Dzieje Nałęczowa", którą zamierza wydrukować Wydawnictwo Lubelskie.

◆ Z okazji Roku Nauki Polskiej lubelski Klub MPiK oraz oddział Polskiego Tow. Historycznego rozpoczęły cykl odczytów pt. „Wielcy Lublinianie". W pierwszym była mowa o Bierzacie z Lublina.

◆ Dzięki poparciu WDK powstał w Lublinie Klub Kolekcjonerów. Na początku kwietnia odbędą się „targi starci".

◆ 37-osobowy Zespół Pieśni i Tańca Akademii Rolniczej z dużym powodzeniem występował na festiwalu w greckiej miejscowości Ksanti oraz w Salonikach i Atenach.

◆ Generalny Konserwator Zabytków prof. dr Alfred Majewski zapowiedział, że Zamość otrzyma wreszcie jednego gestora w zakresie odbudowy i ochrony tego miasta.

Scena z II aktu tragifarsy F. Erola i R. Gorzelskiego pt. „H i G czyli nasze wspólne małżeństwo". W Teatrze Ziemi Łódzkiej wyreżyserował ją H. Kluka. Na zdjęciu: R. Rogacki (H) i Z. Bielski (G).

Fot. W. Jastrzębski

Cuda po włosku

OFICJALNIE Watykan — pisał niedawno Horst Schlitter na łamach zachodnioniemieckiego pisma „Frankfurter Rundschau" — postawił zadanie ścinania niepożądanych pędów rosnących w kościelnym ogrodzie. Wiosną 1969 roku kierownictwo Kościoła uczyniło odważny krok, wykreślając z liturgicznego kalendarza trzydziestu świętych, których istnienie na ziemi musiało zostać postawione pod znakiem zapytania. Zmierzch nastąpił dla świętej Łucji, Cecylii, Krzysztofa i Barbary. Jednakże już w kilka dni po wykreśleniu świętych organ Watykanu „Osservatore Romano" doniósł w komentarzu, że kierowcy samochodów mogą nadal oddawać się pod opiekę świętego Krzysztofa, a górnicy modlić się do świętej Barbary. A więc dwa kroki naprzód i jeden krok wstecz! Protesty z parafii i stowarzyszeń kościelnych odniosły skutek.

Neapolitańczycy do dziś nie zapomnieli Watykanowi, że przed trzema laty wygnał ich świętego Gennara (Januariusa) z najwyższego nieba dla świętych: czczenie Januariusa, który przypuszczalnie w ogóle nie żył, nie jest już obowiązkowe. Tym gorliwiej jednak poszkodowani przez reformę neapolitańczycy uprawiają kult świętego, a kult ów nie może negować swego pogańskiego pochodzenia. Krew, która wytryska rzekomo z jego boku po powieszeniu, trzy razy do roku upłynnia się podczas specjalnych mszy. Szczególnie 19 września, w imieniny świętego Gennara, wybucha fanatyczna wiara w cuda: stare kobiety, mężczyźni, młodzież czekają godzinami, aż popłynie krew świętego. Jeśli Gennaro nie pośpieszy się i nie zmieni ciała stałego w specjalnej flaszce w płyn — parafianie darzą go soczystymi przekleństwami. Jeśli mimo to substancja pozostaje ciałem stałym, Neapol pała oburzeniem, nadchodzi katastrofa.

W ciągu ostatnich pięciu stuleci nie brakło sceptyków, którzy uważali cud z krwią za zręczny trick. Od czasu do czasu naukowcy otrzymują pozwolenie na zbadanie sprawy flaszki, ale decydującego kroku uczynić im nie wolno: nie mogą jej otworzyć!

Wiara pod słońcem włoskiego południa nie jest konstrukcją myślową, ale zwracaniem się w stronę wizualną: relikwie, ozdoby kościelne, obrazy świętych. Zdarza się często, że tylko sam obraz staje się przedmiotem wiary. Ale... Skutek cudu to dla mieszkańców ubogich wiosek górskich pożądany cud gospodarczy. Bary i restauracje wyrastają jak grzyby po deszczu.

Gdzie kończy się wiara, a zaczyna przesąd? Ponieważ Marcin Luter i papieże w Rzymie dawali na to pytanie inne odpowiedzi, doszło do reformacji. Nawet w cieniu Piotrowego Kościoła dzieją się rzeczy, które na północ od Alp byłyby odrzucone z oburzeniem. Odwiedzający bazylikę św. Piotra wykazują swoją cześć dla poprzednika papieży całując stojącą koło głównego ołtarza statuę z XIII wieku. Wielka brązowa noga była wiele razy na nowo odlewana i w istocie pochodzi nie z XIII, ale z XX wieku.

Na Kapitolskim Wzgórzu w kościele Marii Panny w Arecoeli diabeł zostawił ślad. W dawnych czasach — opowiadają — podczas egzorcyzmów szatan wyleciał z opętanego i uciekając zostawił na podłodze kościoła ślad czarnej nogi. Dziś jeszcze tłoczą się ciekawi, by na marmurowej płycie zobaczyć odcisk ludzkiej stopy. W każdym razie diabeł nie miał końskiego kopyta!

Im bardziej życie oddala się od wielkich miast, tym dziwniejsze rośliny rozną na gruncie, który ludzie nazywają wiarą. Wioska Serradarce koło Salerno stała się centrum międzynarodowych pielgrzymek, które dla Kościoła są od dawna cierniem w oku. Melodramat stanowi podkład krwawych, chorobliwych wydarzeń w tym zakątku Włoch, znanym dotychczas tylko z piękna natury.

23 października 1957 r. Vincenzo Gonnella zabija przez nieuwagę swego siostrzeńca, Alberta. Ojciec Alberta, Carlo, znajduje syna przejechanego przez ciężarowy samochód, szuka więc winnego, aby się na nim zemścić. Na próżno. Vincenzo ucieka w góry koło Serradarce.

W dwa dni po wypadku Giuseppina Gonnella, siostra Vincenza, „usłyszała" głos Alberta: „Nikt nie jest winien wypadkowi. To było zrządzenie losu. Jestem szczęśliwy, będąc martwy. Nie powinniście płakać. Żyję w pokoju". Alberto, który uczęszczał do seminarium duchownego, został w ten sposób świętym i przemawia przez usta ciotki. Ciotka zbudowała dla „Alberta w chwale" ołtarz, potem kościół. Ludzie chodzili tam tłumnie, Alberto udzielał im rad, leczył drobne schorzenia i ciężkie choroby, błogosławił dziesiątki tysięcy wiernych. Przez trzy lata sędzia z Eholi prowadził dochodzenie przeciwko Giuseppinie, oskarżonej o oszustwo. Skazano ją ostatecznie na grzywnę, ale interes szedł dalej: omnibusy, święte obrazki „Alberta w chwale"...

Vincenzo Gonnella prowadzi dobrze prosperującą restaurację, ojciec Alberta, Carlo, jest właścicielem małej fabryczki z pamiątkami. Świątynia Alberta jest oświetlona tysiącem świec. Ludzie z całych Włoch, Francji, NRF, Anglii i Hiszpanii na długo przed przyjazdem do Serradarce muszą zamawiać sobie miejsca.

Tak działo się prawie przez 15 lat, aż nadszedł dzień 11 stycznia 1972 r. Bezrobotny Francesco Manganelli kazał zapatrzonej w Alberta ciotce Giuseppinie przepowiadać rezultaty loterii noworocznej. Manganelli — jak się należało spodziewać — stracił w rezultacie wszystkie pieniądze. „Zapłacę ci za to, ty oszukanico!" — krzyczał w obecności wielotysięcznego tłumu. Potem wyciągnął rewolwer i strzelił. Giuseppina Gonnella zmarła w kilka dni później, ale kult Alberta nie zmarł. Świątynia „Alberta w chwale" została poszerzona. Wprawdzie nikt w tej chwili nie ma już wizji, ale minionych 15 lat wystarczy. Katechetka odmawia z parafianami litanię:

— Święta ciotko Giuseppino, męczennico
módl się za nami.
Święty Alberto w chwale
módl się za nami.
Święta ciotko Giuseppino, święta i królowo
módl się za nami.

Horst Schlitter pisze, że wielkie oszustwa tego rodzaju są wprawdzie potępiane przez Watykan, jednak stale odradzają się różne matactwa. Niemniej statystyki wykazują, że wraz z wynalezieniem elektrycznego światła w końcu ubiegłego stulecia liczba ukazujących się duchów i pozostawianych przez nie znaków gwałtownie się zmniejszyła...

Za Bugiem

LWOWSKI miesięcznik społeczno - literacki „Żowtień" zamieszcza interesujące materiały w stałej rubryce „Do czystych dzerel" (Do czystych źródeł). Przejrzałem numery z roku 1972 i znalazłem tam wiele obszernych informacji z przeszłości i teraźniejszości, dotyczących różnych dziedzin sztuki.

Ukraińskie tańce ludowe opisywał wybitny folklorysta i etnograf Wołodymyr Hnatiuk, który poświęcił tej sprawie szereg rozpraw naukowych, umieścił też wiele materiałów w zbiorach etnograficznych. Informuje o tym artykuł W. Kupiennyka w 11 numerze miesięcznika.

Ukraiński ornament ludowy, uprawiany przez mieszkańców wsi Petrykiwka obwodu Dniepropetrowskiego, zdobył uznanie i sławę w całym Związku Radzieckim. Znany jest również za granicą z najróżnorodniejszych wystaw. Sprawę tę przedstawiono z kilku reprodukcjami wzorów tej sztuki o charakterze dekoracyjnym w 5 numerze „Żowtnia".

Filomena Łopatyńska, urodzona w Czerniowcach w 1873 roku, zasłynęła jako śpiewaczka operowa na scenach Lwowa i Czerniowiec. Wykonała szereg głównych ról operowych. Była artystką teatru „Ruskiej Besidy", polskiej opery we Lwowie, należała do ukraińskiej trupy J. Stadnyka, występowała również pod kierunkiem słynnego Łesia Kurbasa. Śpiewała po ukraińsku, po polsku i po niemiecku. Po pierwszej wojnie światowej z Czerniowiec, które wtedy należały do Rumunii, wyjeżdża do syna Fausta Łopatyńskiego do Charkowa, gdzie też umiera. O jej drodze do sławy, o jej sukcesach, o jej związku z rodzinnymi Czerniowcami pisze K. Democzko w 11 numerze miesięcznika.

Martino Altomonte (Hohenberg), malarz włoski pochodzenia niemieckiego, urodził się w roku 1659 w Neapolu. Przyjechał do Polski w roku 1684 na zaproszenie króla Jana III Sobieskiego, który szukał malarza, mogącego przedstawić na płótnach jego zwycięstwo. Martino przez jakiś czas mieszkał w Żółkwi, ożenił się i osiedlił w Warszawie. Pozostawił po sobie wiele obrazów. W. Owsijczuk napisał w 2 numerze „Żowtnia" artykuł o nim, dał też opis tych 19 obrazów M. Altomontego, które znajdują się obecnie w Żółkwi i we Lwowie. Stwierdza, że malarz jako batalista i portrecista wywarł niewątpliwy wpływ na malarzy ukraińskich.

Hryhoryj Łapczenko, malarz ukraiński z I połowy XIX wieku, był synem chłopa pańszczyźnianego na Kijowszczyźnie. Wysłano go na naukę do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, podobnie jak T. Szewczenkę, gdyż chciano wykształcić sobie malarza nadwornego. Ze względu na jego wyjątkowe zdolności wysłano go następnie do Włoch. Łapczenko żeni się ze słynną pięknością ówczesnych Włoch, Victorią Caloni. W wieku 35 lat traci wzrok i już nie może malować. Wraca do kraju i przez wszystkich zapomniany umiera w roku 1876. Życie i twórczość tego wybitnego przedstawiciela wczesnego realizmu ukraińskiego w sztuce przypomina M. Agłajimow w artykule „Artysta losu tragicznego" w 6 numerze „Żowtnia".

O wysiłkach artystów-malarzy i rzeźbiarzy — chcących przedstawić w plastyce i rzeźbie Łesię Ukrainkę i jej bohaterów — pisze interesująco M. Biłan w 2 numerze miesięcznika.

N. Diduch w 5 numerze „Żowtnia" przypomina historię walki o szkoły ukraińskie na terenie b. Galicji Wschodniej w okresie międzywojennym. Interesujące cyfry i fakty oparte są na materiałach źródłowych i wspomnieniach ówczesnych działaczy.

Na łamach „Żowtnia" rozpoczęto druk „Słownika rzeźbiarzy huculskich" dawniejszych i współczesnych.

O życiu kulturalnym Ukraińców w Turkiestanie w okresie bezpośrednio po Rewolucji Październikowej informuje O. Dun w 12 numerze, przypominając zawartość gazety ukraińskiej drukowanej w roku 1919 w Samarkandzie. Gazeta ta jest ważnym znaleziskiem archiwalnym autora.

M. L.

Sztuka i filistrzy

Jan Górec-Rosiński

Przypowieść

ANTONIO Gramsci w jednym ze swych felietonów przytacza bajkę o bobrze. Pisze: bóbr, kiedy ścigają go myśliwi, aby wyrwać mu jądra, z których wydobywa się środki lecznicze — sam je sobie wyrywa aby ratować życie.

Zaryzykuję twierdzenie, że wielu ludzi przypomina owego bobra: pozbawia się dobrowolnie co prawda nie wstydliwych części ciała, a osobistego genre'u — z tą różnicą, że nikt ich nie ściga, ani nie zagraża ich poletkom. Gorzej, jeśli pozbawianie się własnej indywidualności obserwujemy w sztuce, na poletkach literackich: wtedy nawet rezerwaty szanowane przez myśliwych ulegają swoistej depersonalizacji. A ponieważ jesteśmy jeszcze na początku dziejów estetyki socjalistycznej — prawa walki trwają, obowiązują, przeto jest dość gleby społecznej do „partenogenezy" różnych miernot i indywiduów. I choć kujemy nowy łańcuch historii, choć tworzy się generalnie i totalnie nowy człowiek i nowe stosunki społeczne — znajdzie się niejeden bóbr-filister, który w obawie przed polowaniem...

Wróćmy jednak do rzekomej kryjówki filistrów: kawiarni. Utarła się bowiem opinia, że najgorszym złem naszego życia kulturalnego jest kawiarnia literacka. Tam, mówi się, wylęgają się stugłowe hydry bezideowości, nihilizmu, aby potem rozpełzać się we wszystkie kierunki twórczości artystycznej.

Hydra Lernejska

Cóż to jest owe monstrum, którego obawiają się jedni; owa Ziemia Obiecana, ku której idą drudzy? Kawiarnia, mówią, ustala opinie, feruje wyroki, jednych uśmierca, innych wywyższa... Pełna zuchwalstwa i zepsucia, wiary i plotek, drożdży i degeneracji; znajdują tam schronienie stare i wytrawne wygi literackie; początkujący, oglądający się za Łaskawym Uśmiechem Wielkich; abnegaci, burszowie, beatnicy, nihiliści, niebieskie ptaki — zafascynowani urokiem i niezwykłością fajerwerków wciąż zmiennej, ale migocącej sławy; pięknoduchy, co to nie sieją, nie orzą, a puszczają bańki mydlane ku uciesze gawiedzi. Są tam wszyscy: uznani, zapomniani, błyszczący, rozrabiający, udający geniuszy i byli geniusze, sądzący, sądzeni, przyklejający etykiety, zbawiający świat — istna Wieża Babel!

Nie negując pewnych zjawisk ujemnych, jakie zawsze wytwarza każda kawiarnia skupiająca środowisko artystyczne, nie należy jej demonizować. Źródło niebezpieczeństw, o których napomknęliśmy, wbrew pozorom nie znajduje się w kawiarni literackiej (mam na myśli kawiarnię literacką, a nie kawiarnię w ogóle). Kawiarnia tylko je uzewnętrznia, pokazuje w formie najjaskrawszej. Przyczyna leży głębiej. Jest pewną ujemną sumą historycznego procesu przeobrażania się życia społecznego i kulturalnego, a zatem wynika ze zderzeń światów, idei, postaw, mód. Pisał Plechanow: *Sztukę każdego narodu determinuje jego psychika; psychikę tworzy jego sytuacja, a sytuacja jego jest w ostatniej instancji uwarunkowana przez stan jego sił wytwórczych i przez jego stosunki wytwórcze.*

Kawiarnia jest zjawiskiem nienowym. Można by było doszukać się jej pierwowzoru np. w szkołach greckich, gdzie się chodziło na dialogi, pijało się wino (?!), prowadziło dysputy — nierzadko nie zostawiając suchej nitki na przeciwniku. Ale współczesny kształt kawiarni literackiej wytworzyła bodaj Francja, a ściśle — Paryż. Kawiarnie te — całe ulice, dzielnice nieraz — były prawdziwym i zaraźliwym rozsadnikiem nowych idei, prądów umysłowych bądź artystycznych i nierzadko ich wpływ na epokę był trwalszy, aniżeli kodeksy panujących. Utrwalała się więc tradycja Montmartre, Montparnasse, Picadilly, Zielonego Balonika, Ziemiańskiej... Dziś każde miasto, w którym istnieje i żyje środowisko, ma swoje Krakowskie Przedmieście, swoją ulicę Krupniczą... Może to będzie Klub Prasy i Książki, może klub-kawiarenka jakiejś instytucji, lub prywatne mieszkanie naśladowcy Białoszewskiego. Sądzę, że nie należy płakać nad tym zjawiskiem, ani też zabiegać o likwidację tych form snobistyczno-artystycznego wyżywania się. Trzeba gdzieś się spotykać, pić kawę, prowadzić dysputy. Nie schowamy środowisk pod szklane klosze, ani nie będziemy wypędzali twórców do samotnych wież na zmowę milczenia. Dobrze, że takie kawiarnie są, że stają się pulsującym elementem w życiu środowiska. Szczęściem dla środowisk artystycznych żaden z kandydatów na współczesnego Herkulesa nie zdołał uśmiercić tej pozornej hydry i umaczać w jej żółci swoich strzał, choć nie bardzo jestem tego pewien...

Wojenny taniec filistrów

Drzewo nie znosi korników, ul — trutni, sztuka — fałszerstwa. Białaczką kultury jest zawsze nieautentyczność, filisterstwo. Byłoby jednak przesadą twierdzić, że filister jest fałszerzem. Jego psychika jest bardziej skomplikowana. Najczęściej są to osobnicy nie cierpiący zmian, dialektyki, usiłujący limitować umysłowość, a przez to zubożający wszystko, na co mają wpływ. To paradoks, ale filister „kulturalny" sodomę i gomorę (lub złoty wiek literatury) upatruje w... kawiarni. Ona jest alfą i omegą jego zainteresowań. Filister nie umie myśleć kategoriami społecznymi, nie rozumie dialektyki, procesów historycznych, uwarunkowań toczącej się walki ideologicznej, uwikłań i mód, upraszcza życie, ideologię, sztukę. Nie widzi, lub jest mu to obojętne, że twórca — jak i wszyscy ludzie — realizuje się w dziejach, w określonej kulturze, a nie... w kawiarni, że kawiarnia jest wytworem społecznym, podobnie jak kino, telewizja, teatr, klub, cyrk...

Kawiarnia artystyczna, zwłaszcza kawiarnia artystyczna w naszych warunkach — nie pomijając aspektów ujemnych — posiada swoje specyficzne zabarwienie; trochę snobizmu, trochę cyganerii, trochę plotek, trochę zaczynu intelektualnego i ideowego — jak wszystko, co ma styk z życiem społecznym. Filister pogardza kawiarnią, lecz nie dlatego, że jej nie lubi, a dlatego, że staje się mu albo niewygodna, albo też dlatego, że na jej dyskredytacji usiłuje zbić swój filisterski kapitalik. Był czas — kawiarnia była mu potrzebna, więc chodził, pił kawę, dyskutował, „angażował się". Teraz — nie taki on wariat. Można przecież w domu i przez dom; przez dziurkę od klucza, donosikiem, etykietką, prywatnie i półprywatnie, służbowo i półsłużbowo, jawnie i półjawnie... Filister udaje moralnego, bo wie, że może czerpać z tego korzyści; udaje, że śpiewa 100 lat, albo udaje, że śpiewa z ekstazą, „z ideowości". Filister jest jak wskazówka barometru: ustawia się stosownie do pogody, ustawia się, bo musi, bo taka jest już mentalność filistra, tego „socjalistycznego" bobra bez jąder. Nie zawsze nawet można mu zarzucić karierowiczostwo: filister chce po prostu żyć, niewiele go obchodzi wszelka ideowość, strzeże zazdrośnie swoich kąsków i w ich obronie gotów jest na każdą maskę. Stąd jego konformizm urasta do rangi zasady.

Czy filister dlatego szuka (lub unika) kawiarni, że ma ona w sobie coś z mieszczańskiego stęchłego światka, coś z filozofii beatników, egzystencjalnej pozy lub jarmarcznego igrzyska, na którym giełda tworzy i uśmierca ludzi i wartości? Tam winno być jego żerowisko. Ale filister jest graczem wyrafinowanym. Wie, że kawiarnia jest zawsze niezorganizowana, płynna, że działają tam różne prądy i prądziki, kłócą się różne postawy, zderzają się indywidualności — pozorne bądź rzeczywiste. Kawiarnia jest więc żywiołem. Filister żywiołu nie cierpi. Jako wygodny konformista najlepiej czuje się w sytuacji, w której może nie tylko udawać, ale z której przede wszystkim korzysta. U filistra wszystko jest wykalkulowane, obliczone, odważone, zabarwione i dobarwione — filister gra beznamiętnie, zimno. Żywiołu więc nie znosi. Nie znosi bezpośredniości. Ba, nie znosi świadomej dyscypliny. Jego „zdyscyplinowanie" jest jezuickie, udane: najczęściej służy sprawom osobistym lub klikowym. Filister ulega własnym, jemu tylko wiadomym determinantom. Jest niby (pozornie) za spokojem, za ładem, za porządkiem, ale tylko wtedy, gdy te dominanty niosą mu korzyść. Filister więc rad jest, że kawiarnia istnieje, cieszy się z jej niezorganizowania, z jej eksplodującej działalności, bo będąc poza nią, może uchodzić za ideał. Ale jest to maska. Niech tylko sytuacja się odwróci — filister będzie przeciwko tym, którzy są za porządkiem, za spokojem, za ładem, bo korzyść większa będzie miał z postawy przeciwstawnej. Filister wtedy i owszem, będzie przesiadywał w kawiarni, rozprawiał, ferował wyroki, ba, pojedzie na ryby i na grzyby, byle z Kimś, pójdzie nawet do knajpy na wódkę, ale jeśli zyska, jeżeli nie szczebel, to choć srebrnik, choć jedną naszywkę więcej... Może to o takich pisał Goethe w „Fauście": *Cóż to za ludzie, którzy całą duszę wkładają w ceremoniał, których myśli i dążenia przez lata całe kierują się ku temu, jak posunąć się o krzesło wyżej przy stole.*

Niestety, często, bardzo często ułatwiamy życie filistrom, a nawet — w pewnych sytuacjach — postępujemy jak filistrzy. Wzruszamy ramionami, kiwamy głowami, milczymy — i na tym koniec. Nie zajmujemy postawy czynnej, nie przeciwdziałamy złu lub intrygom, dajemy wiarę etykietom, lubimy kadzidlany dymek. Ba, sugerujemy: pokorne ciele dwie krowy ssie... I potem z przerażeniem spostrzegamy, że nagle ów osesek robi niespodziewaną karierę: że zamiast autorytetu uzyskanego przy pomocy rzetelnej pracy, wiedzy, talentu — urosła przedziwna karykatura, rozpychająca się łokciami, przyrządzająca przedziwne receptury i sobie tylko znane ersatze. „Ten jest w 80 proc. pesymistą". „Ta w 25 proc. optymistką, reszta to zgnilizna". „Ów w 49,7 proc. egzystencjalistą, pozostałe — to mistycyzm i ciążenie ku scjentyzmowi". „Tamten — 100 proc. marksista, to nie to co Ygrek, półpozytywista, półkatolik, półneorealista..." I już wiemy, ile dane dzieło zawiera w sobie optymizmu, ile pesymizmu jaki posiada ciężar ideowy, ile w nim komunikatywności, a ile abstrakcji... Pojawiają się aptekarze, miernicy, chemicy, fizycy... Ciele przeobraża się w rogatego byczka, ale atakuje tylko słabszych od siebie, bezbronnych: myśliwych — o dziwo — rozpoznaje na pół mili... Ale maski opadają. Filistrzy mogą wykonywać wojenny taniec. Tym bardziej, że krytyka najczęściej drzemie, albo przekopuje tunele nie tam, gdzie trzeba...

Piękna choroba

Na szczęście smutnej przeszłości nikt nie myśli ekshumować. Filistrzy na dłuższy dystans nie mają co robić i wpływ ich na sztukę, na klimat, na pracę ideowo-wychowawczą w środowiskach artystycznych jest pozorny. Bo życie ma to do siebie, iż zawsze odróżni fałsz od prawdy, a praktyka społeczna to najlepszy odczynnik, dzięki któremu nawet najcwańsze zafałszowanie wykryć można. Filister to taka piłka: zanurzysz do wody — wyskoczy na powierzchnię. Rzucisz o ziemię — podskoczy. Ale rozetnij — pusta w środku. Pozostanie więc tylko piłką, którą podrzucać może każdy.

Pracować z ludźmi, ze środowiskiem artystycznym przede wszystkim — niełatwo. Wiadomo powszechnie, że natura wyposażyła artystów w szczególną aparaturę wrażliwości (choć cecha ta nie jest wyłącznym monopolem ich osobowości): wszyscy ludzie są obdarzeni wrażliwością, co najlepiej poświadcza życie, wielość humanitarnych reakcji i zachowań, cała praktyka społeczna. Niemniej — umiejętna praca ze środowiskiem artystycznym, uwzględnienie jego specyfiki zawodowej, jego poszczególnych predyspozycji psychiczno-intelektualnych — jest ważnym fragmentem polityki kulturalnej. Ta differentia specifica środowisk artystycznych nie może jednak stwarzać immunitetów. Może natomiast i musi być przedmiotem innego rodzaju gry społecznej, inności pracy z tymi środowiskami. Formy tej pracy muszą być inne, aniżeli usiłują narzucić nam tu i ówdzie komiwojażerowie literackich Domów Mody lub kelnerzy artystycznych Piwnic.

Wcale przez to nie proponuję afirmacji tzw. „kawiarnianego stylu życia", lub rodzących się z samego faktu istnienia zjawiska kawiarni literackiej postaw ujemnych. W każdym wypadku, w którym występuje snobowanie się lub kawiarniane misteria, możemy podejrzewać o nieautentyczność. Nie od dziś obserwujemy swoistą „ideologię" snobizmu. Niektórzy krytycy i dyspozytorzy masowych środków przekazu podtrzymują mity obiegowe służąc własnym elitom. Często nobilitacja następuje poprzez zaakceptowanie nie wartości, lecz mody. Błoński zauważył że snob jest archetypem człowieka elity, a snobizm jej chorobą. Snob z trudem zdobywa się na autentyczność postawy. Obawia się, że nie jest dość nowoczesny, wiecznie szuka nowinek i sensacji, jest zawsze hołdowniczy: brak mu jak gdyby własnej „świadomości". Snob jak i filister gardzi walką, działaniem, mędrkuje na temat „czystych" rąk, jest zawsze płaski i powierzchowny, choć „salonowy", nad prostotę przenosi rytuał. Kultura zaś traci swój sens rzeczywisty, humanistyczny, z chwilą, gdy przestaje być wartością, a staje się modą, snobizmem, rytuałem. Jak wiadomo — ani filisterstwa, ani snobizmu (mody również), ani rytuału do wartości zaliczyć nie można.

Niektórzy dowodzą, że wszyscy jesteśmy podatni na tę chorobę. Inni twierdzą, że jest to przywilej wieku dojrzałego, gdyż snob niedaleko odbiega od dandysa, a najwięcej dandysów pojawia się w wieku rzadko nawiedzanym przez naiwność... W dawnych czasach, kiedy Biblia miała jeszcze znaczenie jedynego źródła prawdy, nauczał był rabbi Mair: *Nie spoglądaj na dzban, lecz na to co jest w środku. Bywa, że nowy dzban pełen starego wina, i bywa, że stary dzban, w którym nawet młodego nie ma.*

Wszelkie więc spekulacje, powierzchowne przyklejanie etykiet, są niebezpieczne. Bywało w historii i tak, że dandysi nagle okazywali się niezwykłymi artystami i niezwykli artyści przekształcali się w dandysów. Raczej więc interesujmy się nie tylko powierzchownością artystów, nie załamujmy rąk nad ich indywidualizmem, oryginalnością, specyficznym reagowaniem na zjawiska, lecz zastanawiajmy się, co jest „w środku", jak wyrażają siebie. Uproszczone sądy szkodę tylko przynoszą sztuce i polityce kulturalnej. Stąd też wskazany byłby życzliwy stosunek do tych indywidualności lub grup, które wykazują i żywiołowość, i bezpośredniość, bo świadczy to na rzecz postaw autentycznych. Stąd też i sąd o pisarzach, zwłaszcza młodych, musi być ostrożny i pełen wyrozumiałości. Że znów przytoczę Gramsciego: *Cierpki owoc młodzieńczy może wiele wróżyć na przyszłość i zasługiwać na zachętę i otuchę. Ale owoc robaczywy i rozdęty nic nie obiecuje, choć na pozór może mieć ten sam smak, co owoc niedojrzały.*

Kompleks mety

Ukazanie tych spraw nie jest łatwe. Być może znajdujemy się jeszcze w zwarciu i brak nam dystansu? Może wylewamy dziecko z kąpielą? Zjawisk tych wszakże nie należy traktować powierzchownie, tkwią one głęboko w naszym życiu społecznym i kulturalnym. Okólnikiem, dekretem, dezaprobatą — jak wiadomo — zjawisk ujemnych się nie likwiduje. A jeśli już chodzi o postawy ludzkie — na wokandzie wnet pojawia się etyka, system preferencji, klimat ideowo-polityczny itd. Weryfikacja problemów, postaw, ludzi, nie może zatrzymać się na którymś tam piętrze, lecz musi objąć całokształt naszego życia kulturalnego i politycznego, kierowanych i kierujących. Demokracja socjalistyczna nie jest darem bożym, wypracowaliśmy i wywalczyliśmy ją sami, sami ją musimy doskonalić. Dlatego też do spraw władzy nie wolno przystępować jak do stołu pańskiego. W przeszłości chroniono sprawy, które uważano za wstydliwe. Zwichnięte np. zostały kryteria awansu i ocen ludzi, nie zawsze doceniało się takie wartości, jak wierność ideałom, szczerość, prawość, uczciwość, pracowitość, odwaga w wypowiadaniu sądów itd. Filister korzystał z imponderabiliów, wciskał się w łaski, stał za plecami potężnych nieraz opiekunów, a prości dobrzy ludzie kiwali głowami z politowaniem. Bo filisterstwo nie jest karalne prawem, ale moralną sankcję na tę obrzydliwą postawę znaleźć trzeba.

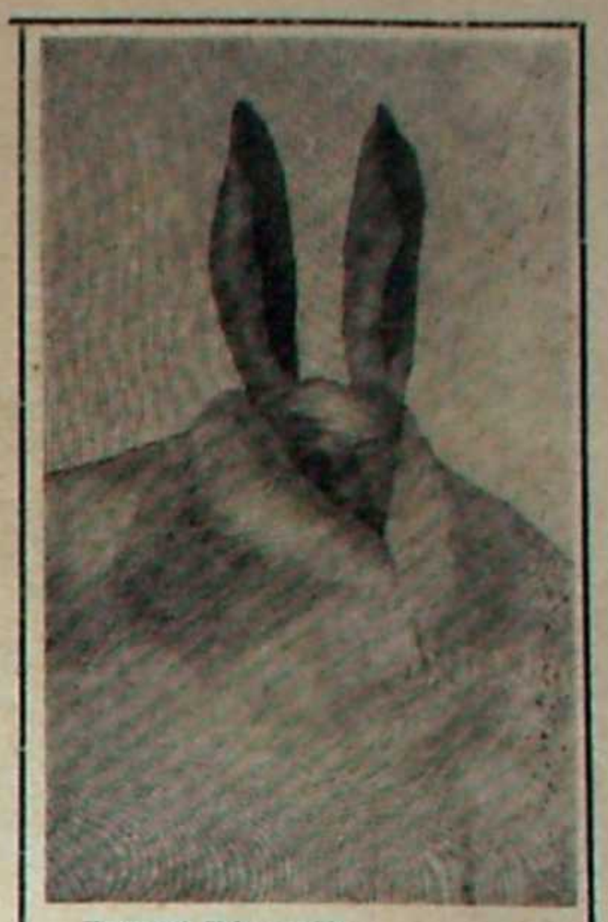

Krzysztof Skórczewski: Grafika z wystawy w „Labiryncie"

Proces tworzenia się socjalistycznej kultury — to walka o określony system wartości: wzorce, określone ideały i zasady moralne; walka na wielu frontach, z wieloma tendencjami i postawami pozornymi. Filisterstwo, cmokierstwo, snobizm, pięknoduchostwo jest pochodną wszelkiego konserwatyzmu. W sztuce z tego zakalca można wyzwalać się tylko poprzez przyśpieszanie nabywania postaw suwerennych. Walkę z filisterstwem trzeba więc podnieść do zasady moralnej powinności. Nie tak przecież trudno rozpoznać filistra. Demaskuje się on przez płaski, służalczy stosunek do każdej Zwierzchności, obojętność wobec systemu wartości, opowiadanie się zawsze za silniejszym. Filister najczęściej daje wiarę intrydze. Sam pusty i sztuczny, nawet jeśli akceptuje hasła nowatorstwa i awangardy, robi to nieszczerze, gdyż brak mu odwagi, uporu, bezpośredniości, żywiołowości — tych cech, które określają człowieka ideowego. Za to snuć pajęczynę potrafi po mistrzowsku, choć życie wykazuje, że wpadają w nią tylko małe muszki. Gorzej, jeśli filister usadowi się w emporze, a zdezorientowana galeria zacznie mu bić brawa...

O tym trzeba powiedzieć, bo i do naszych bram puka snob i filister. Nasze uprzedzenia i kompleksy nie zawsze są zrodzone w wyniku niezawinionej przez nas sytuacji, często sami stroimy się w pawie pióra, stwarzamy rezerwaty „czystej sztuki", uciekamy do kontemplacyjnych (magicznych?) kopuł, udając jedynych sprawiedliwych tego świata. Zapominamy o Norwidowej prawdzie, że pisarz póki walczy, nie zdradza... Gdzie więc jak gdzie, ale w kulturze rezerwatów i bezludnych świątyń być nie może. Nie ma więc co mnożyć snobistycznych katarów, gdyż snobizm był, jest i będzie chorobą elity. Już Engels zauważył, że nawet za Goethem i Heglem wlókł się cień filistra. Uświadomienie sobie nieustającego stanu zagrożenia tą „piękną" chorobą elity każdego z nas może tylko prowadzić do przezwyciężenia postaw pozornych.

Oczywiście, zasada społecznej odpowiedzialności wymaga racjonalnego, rozumnego „konformizmu" społecznego (jak to nazywał Gramsci), ale ów racjonalizm nie może mieć nic wspólnego z postawą filisterską. Podporządkowanie się rozumnej społecznej dyscyplinie — umacnia, rozszerza i pogłębia ruch, „humanizuje" żywiołowość środowiska, oczyszcza go z woluntaryzmu i egoizmu, stwarza realne konstrukcje wolności uświadomionej. Sztuka to historia piękna, zatem — historia ludzi, w niej urzeczywistnia się człowiek. Walcząc o taką sztukę wypierajmy nie tylko szmirę, degrengoladę, dekadentyzm, nihilizm i wszystkie grzechy główne, ale gońmy precz filistrów, którzy jak trutnie nie produkują miodu, a zjadają zawartość ula. Może — kto wie? — w ten sposób ochronimy ich przed pozbawieniem się dobrowolnym godności osobistej, aby nie upodobnili się do owych bobrów, które w obawie przed wyimaginowanym polowaniem dokonują na sobie morderczego zabiegu, aby zachować życie... Pamiętajmy, że każdy człowiek realizuje się w historii, a więc i filistrzy. Im pełniejsza będzie nasza świadomość, że nikogo z tego procesu wyłączyć nie wolno, tym skuteczniej będziemy oddziaływali na społeczne procesy.

Wyciągajmy więc dłonie do tych, którzy, jak to pięknie wyraził Giordano Bruno, szukają, choć nie nadążają, gdyż godzien chwały jest nie tylko ten, kto dopadł mety, ale i ci, którzy biegli równie dobrze, choć nie uzyskali palmy zwycięstwa. Ci tylko zasługują na naganę, którzy zatrzymali się w środku, stracili nadzieję i nie idą dalej.

Ale i tych brońmy przed samotnością i upadkiem.

Kamena str. 3

LEKCJA RYSUNKÓW

Leszek Płażewski

OGNISKO Plastyczne mieściło się w pałacyku, na krańcach ulicy miasteczka. Młody cwaniaczek przyjeżdżał tu z innego miasta, oddalonego o dwadzieścia kilometrów. Nosił on krótko obcięte włosy i żółtą trykotową koszulę, na której miał własnoręcznie wymalowanego kowboja. Nie był wysoki, ale buty na grubej podeszwie gumowej dodawały mu kilka centymetrów. Do Ogniska przyciągnął go plakat reklamowy, który zobaczył pewnego dnia na ulicy, i namowa starszego kolegi. Kolega ten w ostateczności zrezygnował z pogłębienia zdolności malarskich. Wolał boks. Cwaniaczek więc został sam i właściwie nie wiedział, po co ma tu chodzić. Kiedyś lubił rysować i myślał, że po ukończeniu czegoś w rodzaju kursu będzie mógł otrzymać lekką i dobrze płatną pracę, choćby kreślarza czy dekoratora. Ale po rozmowach w sekretariacie przekonał się o swej pomyłce. Ognisko niczego nie gwarantowało. Nie było również nagich modelek, o których uprzednio myślał. Więc chodził do Ogniska, nie mając nic innego do roboty, zawsze tak samo ubrany, z ogromnym blokiem rysunkowym pod pachą. Ten blok był dla niego dobrą zabawą. Kiedy znajomi krzykliwi chłopcy wałęsający się przy stacji pytali go, gdzie pracuje, odpowiadał wtedy pokazując na blok: „Jako pomoc architekta zasuwam". Znajomi chłopcy otwierali usta ze zdziwienia, uważając, że bardzo wysoko zaszedł. Pomoc architekta to przecież nie byle co. A on widząc ich zdumienie, długo i skrycie się cieszył. Innych satysfakcji z powodu uczęszczania do Ogniska chyba nie miał. Na słuchaczy patrzył trochę z boku niechętnie wdawał się w rozmowy. Chyba, że ktoś rozmawiał o jakiejś dobrze płatnej, związanej z rysunkiem robocie, wtedy nadstawiał ucha. Jedynym wyjątkiem był wysoki facet o jasnych włosach, z którym zamienił kilkadziesiąt zdań. Tamten miał łagodny, ujmujący uśmiech i cwaniaczek uważał go za okropnego frajera. Tym bardziej uważał go za takiego, kiedy jasny zaczął mu zwierzać się ze swych kłopotów sercowych. Niedawno poznał młodą dziewczynę i kiedy przychodzi do niej z wizytą, zastaje ciotkę. Ta ciotka bardzo chętnie przyjmuje go, częstując herbatką, ciasteczkami, zwierzał się. Raz znów nie wiedząc, co powiedzieć, zaproponował ciotce spotkanie w muzeum, na co ona chętnie się zgodziła. A ta młoda, na której mu zależy, jest krnąbrna, niedostępna i taka ładna. Cwaniaczek wysłuchawszy tych zwierzeń, pokiwał głową, aby potem opowiadać niemal każdej napotkanej osobie.

Idąc teraz dróżką do pałacyku na zajęcia nie spotkał nikogo ze słuchaczy. Było zresztą wcześnie. Ale na ganku stał już ten facet z jasnymi włosami i uśmiechał się z daleka.

— Pan też tak wcześnie — powiedział.

— Tak wypadło.

— Ja prosto z pracy. Do domu i tu to bym nie zdążył, więc zawsze prosto przychodzę.

Młody cwaniaczek przejechał ręką po włosach. Popatrzył na jasnego z nagłym błyskiem w oku.

— Pan może ma pracę stąd?

— Nie.

— Chodzi mi o coś w tym kierunku.

— Nie, nie stąd.

Ostatnia nadzieja zniknęła.

— Myślałem, że kiedyś po skończeniu Ogniska będzie można otrzymać jakąś robotę, na przykład za kreślarza.

— To przecież inny kierunek — powiedział jasny.

— Wiem, ale grosza nie mam.

— Ja pracuję jako technik-mechanik.

— Aha.

— Rysunek to tylko mój konik — wyjaśnił jasny i urwał listek ze stojącej na ganku palmy.

— Ale nic pan z tego nie ma.

— Przecież ja chodzę dla przyjemności.

— Ja właściwie też — zgodził się niechętnie młody cwaniaczek. — Ale kiedy swojego grosza nie ma, trudno żyć. Jak chcę od starej wziąć jakiś pieniądz, to muszę ją trzy godziny prosić.

Jasny znów zerwał suchy listek palmy i popatrzył na niego. Potem przeszedł z ganku do sali. Było jeszcze pusto, zachodzące słońce padało na ustawione w szeregach stoliki i sztalugi. Jasny otworzył swoją teczkę, wziął z niej bułkę i teczkę położył na jednym ze stolików.

— Może ja coś panu załatwię — powiedział z zapchanymi ustami.

— Za kreślarza?

— Nie obiecuję jeszcze.

— To byłoby git. Kumple poszli na kursy tokarskie, to będą mieć coś z tego.

— Ale pan ma zdolności.

— No pewnie, że mam. Nad naszym stawem nie było chłopaka któremu bym coś śmiesznego nie narysował na kąpielówkach. Sami przychodzili, częstowali fajkami. Tylko co z tego.

— Jak to? Nie odczuwa pan zadowolenia, kiedy pan rysuje? Albo patrzy pan na coś ślicznego, może to być zachód słońca, kobieta, no, coś takiego niepowtarzalnego.

— Bo ja wiem — powiedział cwaniaczek.

Jasny skończył jeść bułkę, ręce starannie wytarł chusteczką.

— Na pewno pan odczuwa. Kultura masowa to bardzo ważna rzecz. My właśnie powinniśmy być jej roznosicielami. Mieć pojęcie o tym. Kto może mieć lepszy smak od nas, jak udekorować świetlicę w zakładzie pracy, mieszkanie, salę na akademię.

— Może i tak — skrzywił się cwaniaczek.

Z sekretariatu wyszła ciemnowłosa kobieta. Miała około czterdziestu lat, ale była dobrze utrzymana, zgrabna i z pewnym smakiem ubrana. Mówiła, że na imię ma Katrin, Kartin z Katalonii, dodawała, wzbudzając wesołość słuchaczy.

Rys. E. Inglot

— O, dobrze, że koledzy są — powiedziała — rozmawiałam właśnie w sprawie wieczorku zapoznawczego w sekretariacie.

Jasny spojrzał na Katrin swoimi niebieskimi oczami i musiała mu się spodobać. Miała wilgotne usta, białe jak ser zęby, świeżą cerę. Zupełnie inna niż ta ciotka dziewczyny, którą poznał.

— Kiedy to ma być?

— W sobotę. Składkę po pięćdziesiąt złotych ustaliliśmy.

— Będzie trochę wina? — zapytał młody cwaniaczek.

— W miarę — odparła. — To jak koledzy, decydujecie się? Nie chciałabym, żeby kogo zabrakło.

— Namyślimy się — powiedział cwaniaczek.

Katrin usiadła przy swoim stoliku i zaczęła przeglądać kolorowe rysunki, błogo się uśmiechając. Cwaniaczek machnął ręką, zmarszczył nos. Zauważył to jasny i przez chwilę przyglądał się młodemu koledze. Potem poprosił cwaniaczka, żeby pokazał mu swój blok. Cwaniaczek się zgodził i jasny zaczął skrupulatnie przeglądać rysunek za rysunkiem, na którym najczęściej były roznegliżowane kobiety i kowboje na cwalujących koniach.

— No, ma pan zdolności — mówił skrobiąc się po brodzie. — Teraz widzę, duże oryginalne zdolności, tylko żeby pan tak więcej serca w to włożył.

— Dawno rysowałem toto.

— Naprawdę duże zdolności i dużo fantazji.

— I co to może dać?

— Trzeba jeszcze pogłębić tajniki kunsztu, proporcje.

— Rany, to można całe życie zmarnować.

— Niech pan tak nie mówi — powiedział jasny. — Niech pan mi zawierzy, panie kolego. Zaraz, zaraz spytamy się pani Katrin.

Podszedł do niej z szeregiem rysunków cwaniaczka, kiedy ona przeglądała swoje.

— Proszę spojrzeć, czy to nie świetne — powiedział— a oto autor, który ma wątpliwości. — Wskazał na głupio uśmiechniętego chłopca.

— Tak, ładne — powiedziała. — Ale proszę spojrzeć na moje. — Podsunęła mu pod nos kilka akwarel. — To widok z mojego okna. Jak się panu podoba?

— Tak, dobrze uchwycone.

— A to z moich ostatnich wakacji. Plaża. Proszę zwrócić uwagę na koloryt. Było tam upalnie, wprost nie do zniesienia. Pamięta pan, van Gogh dostał od takiego upału pomieszania.

— Widzę. Koloryt świetny.

— A tu nasze góry jesienią.

— O, tak — mruknął jasny, przeglądając akwarele.

Oglądał jeszcze, kiedy zaczęli schodzić się inni słuchacze Ogniska Plastycznego. W sali zapanował nagle gwar, a Katrin zerwała się, żywa jak dziewczynka i klasnęła w ręce.

— Koledzy, proszę o ciszę. W sobotę organizujemy zapoznawczy wieczorek taneczny.

— O, to świetnie — powiedziała jakaś gruba dziewczyna — nareszcie coś.

— Właśnie — dodała jej piegowata, niemłoda koleżanka.

— Będzie tu i tu — uśmiechnął się człowiek z wąsikiem pokazując na szyję i serce.

— Proszę koleżeństwa, proszę się zgłaszać — mówiła Katrin i zaraz zaczęło otaczać ją coraz większe koło mężczyzn i kobiet. Po wykładach słuchacze wolniej niż zwykle się rozchodzili. Przystawali, opowiadali dowcipy i wybuchali śmiechem. Dwie dziewczyny mówiły z przejęciem o strojach, Katrin jak nigdy była otoczona wianuszkiem mężczyzn. Młody cwaniaczek spojrzał na nich i ruszył w stronę stacyjki. Między drzewami migotały światełka. Po kilkunastu krokach dogonił go jasny; za nimi rozległ się jak echo śmiech.

— Ładnie tu — powiedział jasny — chciałbym tak przyjść z tą dziewczyną.

— Z tą starszą? — zapytał cwaniaczek.

— Nie, z młodszą. Pan to odczuwa, druga połowa września, kończy się lato...

— Trochę odczuwam.

— Tu uroczo jest. Idąc z kimś nieobojętnym, można sobie dużo rzeczy powiedzieć.

— Możliwe.

— Potem to wszystko można przenieść w kolorach, ale niekoniecznie. Pan to chyba rozumie. Zresztą to głupio sobie mówić na pan, tak sztywno. Powinniśmy się zaprzyjaźnić.

Cwaniaczek spojrzał na jasnego. Zobaczył wyciągniętą dłoń.

— Mam na imię Antoni.

— Tadek — odparł cwaniaczek. Znów szli w milczeniu.

— Ty mieszkasz zaraz pod Warszawą?

— Tak.

— Ode mnie z pracy to po drodze. Zawsze jadąc elektrycznym, patrzę na to wasze miasteczko.

— Możesz przyjść do mnie — powiedział cwaniaczek — strasznie się nudzę, nie wiem, co robić.

— Postaram się załatwić ci pracę — powiedział jasny. — Możliwe, że mi się uda.

— Chciałbym.

— Porozmawiam z szefem. Bądź dobrej myśli. To przyjechałbym w dniu... Antoni zaczął się namyślać.

Dochodzili do oświetlonej stacyjki.

Po trzech dniach, jak się umówili, Antoni przyjechał do Tadka. Mały domek stojący w ogrodzie znalazł łatwo. W oknie światło. Ale chłopca nie zastał, tylko jego matkę. Była to otyła kobieta, która zajmowała się handlem na bazarze. Kobieta popatrzywszy na nowego kolegę syna poprosiła, żeby usiadł i zaczekał. Antoni skromnie przysunął sobie krzesełko i zaczął nieznacznie zerkać po mieszkaniu. Na podłodze poniewierało się pełno marynarek, kolorowych koszul i przeróżnych butów. Kobieta żaliła się na syna, że ciężką jej krwawicę przepuszcza z kolegami łobuzami, na pewno i teraz jest z nimi. Antoni chciał już powiedzieć, żeby się nie martwiła; on właśnie załatwił pracę dla Tadka, gdy nagle kobieta zerwała się i klasnęła w ręce.

— Racja, mam takie buciki dla pana jak wymarzone; tanio sprzedam.

— Moje jeszcze dobre — Antoni wskazał na swoje buty.

— Ale nic nie szkodzi żeby pan przymierzył.

— Nie, ja naprawdę dziękuję.

— Co tam. Co panu szkodzi przymierzyć: kupił nie kupił, potargować zawsze można.

Antoni wstydził się już odmówić i przymierzył. Wtedy kobieta wymieniła cenę. Antoni odmownie pokręcił głową i zdjął obuwie. Ale na tym się nie skończyło. Musiał przymierzyć jeszcze około dziesięciu par różnych rozmiarów, fasonów i kolorów. Zakładając i zdejmując buty spoglądał z utęsknieniem na drzwi, czy wreszcie wejdzie ten jego nowy kolega i wybawi go z tej niezbyt przyjemnej sytuacji. Ale tamten nie nadchodził. Dokąd to będzie trwało? Znikąd ratunku. Teraz na nogach miał stare pantofle, tak stare i sfatygowane, że niepodobna było w nich chodzić.

— A ile pani za to życzy? — zapytał zrezygnowany.

— Niedrogo — powiedziała jak zwykle i dodała: — Pięćdziesiąt złotych.

— Nie taniej?

— Zobacz, kochany, ile ty będziesz w tych bucikach chodził, ile kilometrów zrobisz. Zelóweczki jeszcze całe. Nawet do panny możesz wyjść.

— Dobrze — powiedział blady i przerażony Antoni. Cena nie była zbyt wysoka, tyle samo kosztował pobyt na składkowym wieczorku zapoznawczym w Ognisku. Wyjął portfel i zapłacił.

— Zapakować, czy już zostanie pan w tych bucikach?

— Wolałbym zapakować.

— Dobrze — zgodziła się, okręcając te stare buty w jakąś gazetę.

Antoni pocałowawszy w rękę kobietę wyszedł szybko, bojąc się, żeby nie sprzedała mu jeszcze czegoś innego. Idąc ulicą myślał, że ten cwaniaczek po prostu okrutnie z niego zadrwił, zostawiając go ze swoją rozkoszną i diablo cwaną mamusią. Zaczął rozglądać się za koszem i za pierwszym rogiem znalazł go i wrzucił tam swój nowo nabyty pakunek. Potem chusteczką wytarł ręce i odetchnął głęboko. Znów świat wydawał mu się przyjemniejszy, pełen tajemnic i kolorów.

A w kilka dni po tej historii dowiedział się, że cwaniaczek zapisał się na języki obce. Zaś Katrin zaprzyjaźniła się na wieczorku zapoznawczym z pewnym osiemnastoletnim chłopcem i zaczęła z nim romansować.

Petyr Karaangow

Oddalenie

Każdego dnia
od czegoś odchodzimy...
Oddala się wszystko:
miasta znad morza
burzone przez wiatry i deszcze,
biblioteka w znanym mieście,
słoneczne fasady wzdłuż ulic
o imionach chanów,
wieczory śnieżne w Moskwie,
pistolety i paczangi
pod niebem Hawany
samoloty z betonowych
lotnisk Europy...
W chwili, gdy jakiś kwiat kwitnący
oszołomi cię jesienią,
i miłość całkiem niespodziewana
opromieni cię

pewnego jesiennego popołudnia
wokół domu twojego niepewnego...
i nagle spłoniesz!

Złoty popiół!
Spóźnione wiatry go rozniosą
nad lasy, koło których
stare białe miasta lśnią,
jak kamienie,
z winnic wyrzucone...
Pewnie tylko ja,
Tak samo jak ty,
Poznaję słowo smutek...

Księżyce,
Poszum wód wieczornych
i słowa, których nikt nie powiedział
i których nikt nigdzie nie przeczyta...

Idziemy razem w stronę wieczoru!

Śnieg

Biała ulica
rzeka biała
Igraszek czasu dziwny bieg!
Szarpniesz zasłonę ręką śmiałą
a za oknami
pada śnieg.

Tak między dwojgiem
w chwilę nieznaną
przeleci słowo
raniące cię...
Gorycz poczujesz,
bo w ciszy domu
pomiędzy wami
już pada śnieg.

Północ

„Mamy dziś quorum!
Możemy rozpocząć..."
Wychudłe nasze twarze rozkołysał
wiatr suchy od pustych słów.

Namiętnym impulsem tropiku
wyrazy się kruszą
stopione z żelaza.

Jakże umiemy poniżać się
sami przed sobą!
Przepraszam, wybaczcie
niedozwoloność
nieobecności mojej.

Mam książkę o Amundsenie
Czeka w domu na mnie.
Mam i przewodnik po Jakucji.

Eskimos mój, z samotnym reniferem
— rysunek piórkiem flaminga
w niebie Północy.

Gwiazda zapada za twoje ramiona
i oczami odnosisz do swojego
małego Igloo
jej malownicze blaski konturów.

Niezależni od ciebie
poeci dryfują
w słońca niskie
i sześciomiesięczne
wpatrują się.

Śmiałe litery
i wiersze dziwne
przynoszą w ich świetle
wiatry lodowe...

„Mamy dziś quorum"
Do zobaczenia
w swoim tropiku
zostańcie tu

Ja
jadę na Północ!

Przełożyła
Violetta Toszeva-Koseska

Petyr Karaangow (ur. 1931) — współczesny poeta bułgarski; wielbiciel i tłumacz poezji polskiej. Debiutował w 1957 r. tomikiem „Ślady na drodze". Wyżej publikowane wiersze pochodzą ze zbiorku „Priblizawszczi snegowe" Płowdiw, 1971.

Te pieśni nie uszły cało...

Stanisław Wiśniewski

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi rozkradną złodzieje
Pieśń ujdzie cało...

A. Mickiewicz: „Konrad Wallenrod"

„NAJZNAMIENNIEJSZA z polskich pieśni narodowych" — na takie właśnie, niezwykle trafne i zaszczytne określenie „Mazurka Dąbrowskiego" natkniemy się w monografii, napisanej przez lubelskiego historyka, prof. dr. Juliusza Willaume'a. W całej długiej, bo trwającej ponad 175 lat, historii pieśni Józefa Wybickiego, lata 1926—1927 stanowią niewątpliwie moment przełomowy. Wtedy to bowiem ta najpopularniejsza od dawna wśród społeczeństwa pieśń została podniesiona do rangi polskiego hymnu narodowego.

Chociaż wydawało się, że tym samym sprawa została definitywnie rozstrzygnięta, to jednak w niecałe trzy lata później nie tylko, że podjęto próbę weryfikacji hymnu, ale wystąpiono z postulatem zastąpienia „Mazurka Dąbrowskiego" innym, bardziej „odpowiednim" utworem. Cała ta akcja, nie mająca z punktu widzenia dziejów hymnu specjalnie wielkiego znaczenia, jest jednakowoż godna przypomnienia. Po pierwsze dlatego, że odzwierciedla ona zarówno nastroje społeczne, jak i ogólną atmosferę panującą wówczas w kraju, a po drugie, bo zorganizowana została na terenie regionu lubelskiego. Autorami tego nie mającego precedensu i dość zaskakującego pomysłu byli redaktorzy i współpracownicy wydawanego w starym kanclerskim grodzie „Słowa Zamojskiego".

Tygodnik ten, dziś już zapomniany, należał do grupy licznych w naszym województwie w okresie międzywojennym periodyków-efemeryd. Jego egzystencja trwała niewiele ponad rok, urwała się po ogłoszeniu 61 numeru. W nr 13 rozpoczęto coś, co można by nazwać pragnieniem „naprawienia" hymnu narodowego, a właściwie zastąpienia go innym. Motywy podjętej akcji oraz jej „uzasadnianie" przedstawiono w nie podpisanym artykule, opatrzonym znamiennym tytułem: „Na śpiew wolności czeka Polska wolna". Punktem wyjściowym było stwierdzenie, iż „Polska doczekała się wolności", ale „wolny naród nie ma jednak odpowiedniego dobie wolności śpiewu narodowego, hymnu rozbrzmiewającego wolnością polską, radością z tej wolności, hymnu, który zastąpiłby dotychczasowe śpiewy narodowe, wprawdzie piękne, lecz z doby naszej martyrologii narodowej (pochodzące)". W związku z tym „Ziemia Zamojska" pragnie „stworzenia takiego hymnu i wystąpiła z inicjatywą". Z dalszej treści artykułu wynika jednak, że to nie tyle „Ziemia Zamojska" dąży do opracowania nowego hymnu, ile raczej niejaki Julian Wyszyński, wówczas dyrektor cukrowni w Klemensowie, o którym wyraźnie powiada się, iż jest „inicjatorem" całej tej kampanii.

Ale redaktorzy „Słowa Zamojskiego" zdawali sobie sprawę, że dla pomyślnego zakończenia akcji nie wystarcza autorytet szefa przedsiębiorstwa klemensowskiego. Zwrócili się więc do innych, bardziej znanych — przynajmniej w skali województwa — osobistości. Jedną z nich była Wanda Śliwina z Lubartowa. Otóż ta znana w okresie międzywojennym działaczka społeczna, aktywistka ruchu regionalnego, a jednocześnie autorka wielu, niestety nie najwyższego lotu, utworów poetyckich o tematyce lirycznej, religijnej i historycznej, podpisywanych na ogół literackim pseudonimem „Jagienka spod Lublina", odniosła się wręcz entuzjastycznie do inicjatywy „Słowa Zamojskiego". Nawet więcej — dysponując pewnymi zdolnościami literackimi potrafiła znacznie sugestywniej od wspomnianego dyrektora cukrowni agitować za „nowelizacją" hymnu.

Napisany przez nią artykuł „O polski hymn narodowy" pod względem formy i treści bardziej przypomina płomienny manifest czy odezwę, niż utwór publicystyczny. Pisze więc Śliwina, że Polska „hymnu narodu, świadomego swej wolności i siły, nie posiada!" Albowiem te pieśni, które do tej pory pełniły funkcję hymnu, są nawet piękne, ale z tej racji, że zostały zrodzone „w latach niewoli i walki", nie odpowiadają zupełnie obecnej sytuacji. Taki np. „Mazurek Dąbrowskiego" jako „piękny hymn" mógł dodawać otuchy, ale wówczas, gdy Polska znajdowała się w ciężkim położeniu, szczególnie zaś wtedy, gdy Polacy ogarnięci „ślepą rozpaczą walczyli w szeregach napoleońskich". Przemilczawszy rolę, jaką odegrała ta pieśń w życiu następnych pokoleń polskich, autorka kategorycznie stwierdza, iż utwór Wybickiego „nie może być wyrazicielem uczuć narodu w dobie obecnej". Po co bowiem — zapytuje — przekonywać opinię publiczną, że „Polska nie zginęła? Nikt w to nie wątpi, a my tym bardziej!"

Równie „głęboka" jest dokonana przez Śliwinę ocena walorów ideowych innych popularnych nie tylko w przeszłości „śpiewów" narodowych („Boże, coś Polskę", „Z dymem pożarów", „Nie rzucim ziemi"). Najbardziej chyba oryginalne są jej spostrzeżenia na temat „Roty". Autorka twierdzi, że zawołanie Konopnickiej „Nie damy pogrześć mowy!" było wprawdzie w przeszłości „głosem protestu uciemiężonych, ale obecnie nie może być oświadczeniem wolnego narodu". W dalszym ciągu Śliwina rzuca — jej zdaniem — w pełni retoryczne zapytanie: „A któżby śmiał grzebać mowę gospodarza w jego własnym domu?" „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!" — a właśnie! Niechby tylko spróbował! Takie zastrzeganie się ubliża godności wolnego Polaka! Minęły czasy Wrześni...!"

Mając nadzieję, że zwrócenie się do społeczeństwa może przyczynić się do stworzenia możliwie najdoskonalszego nowego hymnu, Śliwina wystąpiła z apelem, by „zrzucić pleśń niedbalstwa i na strunach duszy odszukać odpowiedni ton i targnąć go złotym pierścieniem zapału, aby dźwięk poszedł przez całą Polskę i stał się kamertonem dla pieśni harmonijnej w wielkim narodowym zespole!"

Wywołany w ten sposób „dźwięk" zmaterializował się w postaci kilku propozycji nowego hymnu, a ich autorzy postanowili sami „targnąć pierścieniem zapału struny swoich dusz". Ograniczyli się jednak tylko do opracowania słów. Wyjątkiem jest jedynie projekt nadesłany z Klemensowa, który obok tekstu ułożonego przez wspomnianego wyżej dyrektora, zawierał muzykę skomponowaną przez kierownika klemensowskiej orkiestry, Stanisława Splewińskiego. Redakcja włożyła niemało starań, aby właśnie ten projekt możliwie jak najlepiej zaprezentować czytelnikom. Stąd też bogata ornamentyka plastyczna, przeładowana ozdobami winieta itp. Oceną walorów muzyki winien wprawdzie zająć się specjalista w tej dziedzinie, ale nie sposób nie dostrzec, iż melodia ma charakter pełen patosu, wzniosłości (por. wskazówkę wykonawczą kompozytora — „maestoso") i jako taka trudna jest do masowego śpiewania.

Nie sprostali również zadaniu autorzy tekstów. Trudno nowet wdawać się w ocenę. Wystarczy bez komentarza zaprezentować „utwór" tak bardzo przez redakcję honorowanego klemensowskiego dyrektora:

Naród polski jest zdolniezy (?!), jest on bohaterski.
Niechaj świecą nam przykładem Staszic i Żółkiewski!
Niechaj w Polsce kwitnie praca, zgoda, miłość bratnia,
Niechaj w tym nam dopomoże Bóg i władza nasza!
Niechaj dźwignią będzie wiara, wiara w przyszłość naszą!
Niechaj w tym nam dopomoże Bóg i władza nasza!

Fot. P. Kobielski

Autor następnego tekstu (ukrywający się za inicjałami „W. M.") zaleca wykonywać go na melodię „Mazurka Dąbrowskiego":

Polska wielką jest i będzie
Wielką, o tym wiecie.
Ale trzeba aby wszędzie
Znali ją na świecie.
Niech zagranica chyli dumne czoła.
I niech każdy Polak radośnie zawoła:
Hasłem naszym: Bóg, Ojczyzna,
Praca, miłość, zgoda!
Niech nie boli żadna blizna.
Niech żyje swoboda!!!

I na koniec fragment tekstu, zaproponowanego przez W. Śliwinę, podpisany tak samo jak artykuł kryptonimem „J. Z. P. L.":

Hej Ojczyzno, Polsko miła, w Tobie nasza siła;
W takt melodii biją serca, żebyś wiecznie żyła!
Tylko z Bogiem idź do czynu, dzielny Polski synu,
A ozdobisz Matkę Ziemię w nowy liść wawrzynu!

Tak więc te oto „perełki" literatury patriotycznej miały zastąpić rzekomo przestarzałe strofy Wybickiego. I nie wiadomo, co tu jest bardziej zdumiewające: widoczny nawet gołym okiem brak krytycyzmu autorów w ocenie własnych „dokonań artystycznych", ich śmiałość i niefrasobliwość, które dały o sobie znać przez to, że zdecydowali się bez wahania na publikację tak słabych i miałkich utworów, czy też naiwność redakcji. Naiwność, która kazała żywić nadzieję, iż w razie pomyślnego zakończenia batalii z „Mazurkiem Dąbrowskiego" i w przypadku, gdy nie pojawi się lepszy projekt nowego hymnu, właśnie z ich nazwiskami przyszłe pokolenia kojarzyć będą te same zasługi, jakie przedtem dla rozwoju hymnu położył współtwórca legionów polskich we Włoszech.

Mrzonki te zostały zresztą rychło rozwiane w wyniku całkowitego fiaska, które poniosła niemal w samym zarodku akcja „naprawy" hymnu. Nie zyskawszy nie tylko poparcia, ale nawet żadnego rezonansu tak u czytelników jak i w innych redakcjach, do których inicjatorzy skierowali osobny apel, cała próba zgasła śmiercią naturalną. Z uwagi na ograniczony terytorialnie obszar oddziaływania „Słowa Zamojskiego" wszystko poszło w zapomnienie. Powstałe zaś z tej okazji „utwory" szybko i bez szkody spoczęły w obszernej mogile, w której od dawna składa się tzw. grafomanię.

Mój pierwszy krytyk

Dokończenie ze str. 1

la, a byłbym — nie otwierając listu — wrzucił go do kosza lub spalił, aby sobie samemu wstydu oszczędzić. Zaraz jednak przywiodłem na pamięć literackich bohaterów, ludzi odważnych oraz twardych, i list otworzyłem. Jakież było moje zdziwienie z każdym kolejnym zdaniem, które odczytywałem. Otóż druga redakcja pisała, że bardzo się cieszy, iż nawiązałem z nią kontakt i rozpocząłem cenną współpracę. Następnie przeczytałem, że wiersze moje bardzo się im podobają, są świeże, bez maniery, a jednocześnie znamionują znaczną kulturę literacką. Redakcja cztery z nich wydrukuje za miesiąc, jednocześnie prosi o dalszą, stałą współpracę. List kończył się najserdeczniejszymi pozdrowieniami i życzeniem dalszej, owocnej pracy na niwie poetyckiej.

Nie potrzebuję w tym miejscu opisywać swojej radości. Powiem tylko, iż takiego uniesienia na miarę tamtego już nigdy potem nie doznałem, nawet podczas wręczania najważniejszych dla mnie literackich nagród ogólnopolskich. W radosnej euforii, z mściwością zrobiłem odpis tego pięknego listu i ekspresem poleconym wysłałem do pierwszej redakcji, która odżegnała mnie, jako poetę, od czci i wiary. Oczywiście, dopisałem swój odpowiednio złośliwy komentarz, dobitnie uświadamiając surowemu redaktorowi, że przecież ocena innego pisma dotyczy tych samych wierszy, na których on się nie poznał.

Po kilku kolejnych dniach znalazłem w trzecim czasopiśmie, do którego wysłałem utwory, jeden z moich sześciu wierszy. I to był mój debiut poetycki. Dziwnym zbiegiem okoliczności czasopismo z moim wierszem ukazało się z datą 14 lipca! Jest to, jak wiadomo, rocznica Rewolucji Francuskiej i zburzenia Bastylii przez lud Paryża. Jak się państwu podoba to zestawienie: Wielka Rewolucja Francuska i mój debiut poetycki!?

Tak czy inaczej, spośród sześciu po raz pierwszy w życiu wysłanych wierszy do redakcji zostało wydrukowanych pięć.

Przed chwilą ukazany przykład skrajnie różnej oceny utworów literackich miał dla mnie i tę dobrą stronę, że już od tamtego okresu, czyli od początku drogi literackiej, nie wierzę nigdy opiniom krytyki literackiej.

Historia związana z moim debiutem poetyckim, a raczej z ową negatywną odpowiedzią, ma swój dalszy ciąg.

Rychło dowiedziałem się, że ów redaktor działu poezji w czasopiśmie, który uznał moje debiutanckie wiersze wprost za grafomańskie, sam jest poetą drukującym między innymi we własnym piśmie. Tak się dziwnie dalej złożyło, że kiedy ja wydałem już debiut poetycki w postaci książki, ów redaktor-poeta dopiero po kilku dalszych latach opublikował swój pierwszy zbiorek wierszy. Ten nasz świat jest najdziwniejszym ze światów, więc nie dość na tym. Oto zdarzyła się w międzyczasie sytuacja, która nam, pierwszemu redaktorowi oceniającemu moje wiersze i mnie, spłatała pikantnego figla.

Na którymś ze zjazdów młodych poetów urządzono turniej jednego wiersza i poproszono mnie do jury. W turnieju brali udział młodzi poeci przed debiutem książkowym. Ku swemu zdziwieniu na liście startujących znalazłem nazwisko poety-redaktora, który nie miał jeszcze wtedy książki, a który swego czasu uznał moje pierwsze utwory za grafomańskie i nie rokował mi żadnej nadziei na polu poetyckim. Czytelnicy rozumieją, że znalazłem się oto w niezwykle trudnej i niezręcznej sytuacji. Myślę więc sobie: ów startujący w turnieju redaktor-poeta zapewne przypomina sobie moje nazwisko i treść listu, który kiedyś do mnie napisał. A zatem na pewno będzie mu bardzo przykro, gdy stanie przed stołem jury, gdzie i ja będę siedział i zacznie czytać swój wiersz. Pomyślałem dalej, że najlepiej byłoby, gdybym ze względu na tę delikatną sytuację wycofał się z sądu konkursowego. Jak jednak organizatorom uzasadnię swoją decyzję? Przecież nie powiem prawdy, bo cały zjazd młodych poetów miałby o czym plotkować — i dopiero źle poczułby się ów redaktor-młody poeta. Rad nie rad, przyjąłem uczestnictwo w jury. Prosiłem opatrzność już tylko o jedno: aby wiersz redaktora reprezentował odpowiedni poziom artystyczny. Wtedy będę miał ręce rozwiązane. Jeżeli natomiast utwór jego będzie zły i autor nie otrzyma nagrody, natychmiast pomyśli, że to moja sprawka, że zemściłem się za jego ocenę moich wierszy przed debiutem.

Jednak złośliwość sytuacji bywa nawet większa od złośliwości martwych rzeczy. Wiersz okazał się utworem bardzo kiepskim i wszyscy członkowie sądu konkursowego chcieli odrzucić go już we wstępnej selekcji. Widząc, co się święci, zacząłem walczyć jak lew i wbrew wszystkim udowodniłem, że utwór posiada wartości artystyczne, jest nowatorski, ukazuje ambitną drogę poszukiwań poety itd. W rezultacie przekonałem jury do kiepskiego wiersza i autor otrzymał bodajże trzecią nagrodę.

W taki oto sposób, postępując nieuczciwie, postąpiłem szlachetnie. Wiedziałem przecież doskonale, że gdyby mój redaktor-poeta nie otrzymał nagrody, zwaliłby całą winę na mnie, uznałby, że to efekt mojej mściwości. W rezultacie zachwiałaby się jego wiara w obiektywność ludzką. A więc nie podpadłem u niego, podpadłem natomiast u kolegów z sądu konkursowego, którzy długo nie mogli zrozumieć, co się ze mną stało, że uznaję słaby wiersz niemal za arcydzieło. Rzecz jasna, prawdy nie mogłem wyjawić.

Ale i na tym nie koniec. Po jakimś czasie otrzymałem zaproszenie z czasopisma (w którym nadal był mój redaktor-poeta) do udziału w ankiecie z okazji jubileuszu redakcji. Ankieta zawierała kilka pytań w rodzaju: kiedy debiutowałem i w jakich okolicznościach, od kiedy datuje się mój kontakt z tymże czasopismem. (Na marginesie muszę wspomnieć, że pismo to kilka razy przedrukowało moje wiersze — co pewnie zawdzięczam właśnie owemu pierwszemu krytykowi moich wierszy, dla którego wywalczyłem nagrodę). Odpowiadając na ankietę i wiedząc, że będzie to czytał redaktor poezji, ten sam, który był moim pierwszym krytykiem i któremu za to przyznałem trzecią nagrodę, opisałem w skrócie to wszystko, co czytelnikom przed chwilą opowiedziałem. Dodałem przy tym, że niezamieszczenie opisu historycznych kontaktów z czasopismem będzie oznaczać tchórzostwo redaktora działu poezji.

Niestety, tu doznałem zawodu. Moją odpowiedź na ankietę wydrukowano, skrupulatnie wykreślając wszystkie miejsca związane z redaktorem działu poezji. Wkrótce ów redaktor-poeta został członkiem kolegium najpoważniejszego miesięcznika poświęconego poezji. Do miesięcznika tego nie wysyłałem już jednak swoich utworów aż do chwili zmiany składu redakcji. Po prostu mój krytyk, redaktor i poeta, znowu był górą, a ja nie chciałem już igrać z ogniem...

Czesław Kuriata

Kamena str. 5

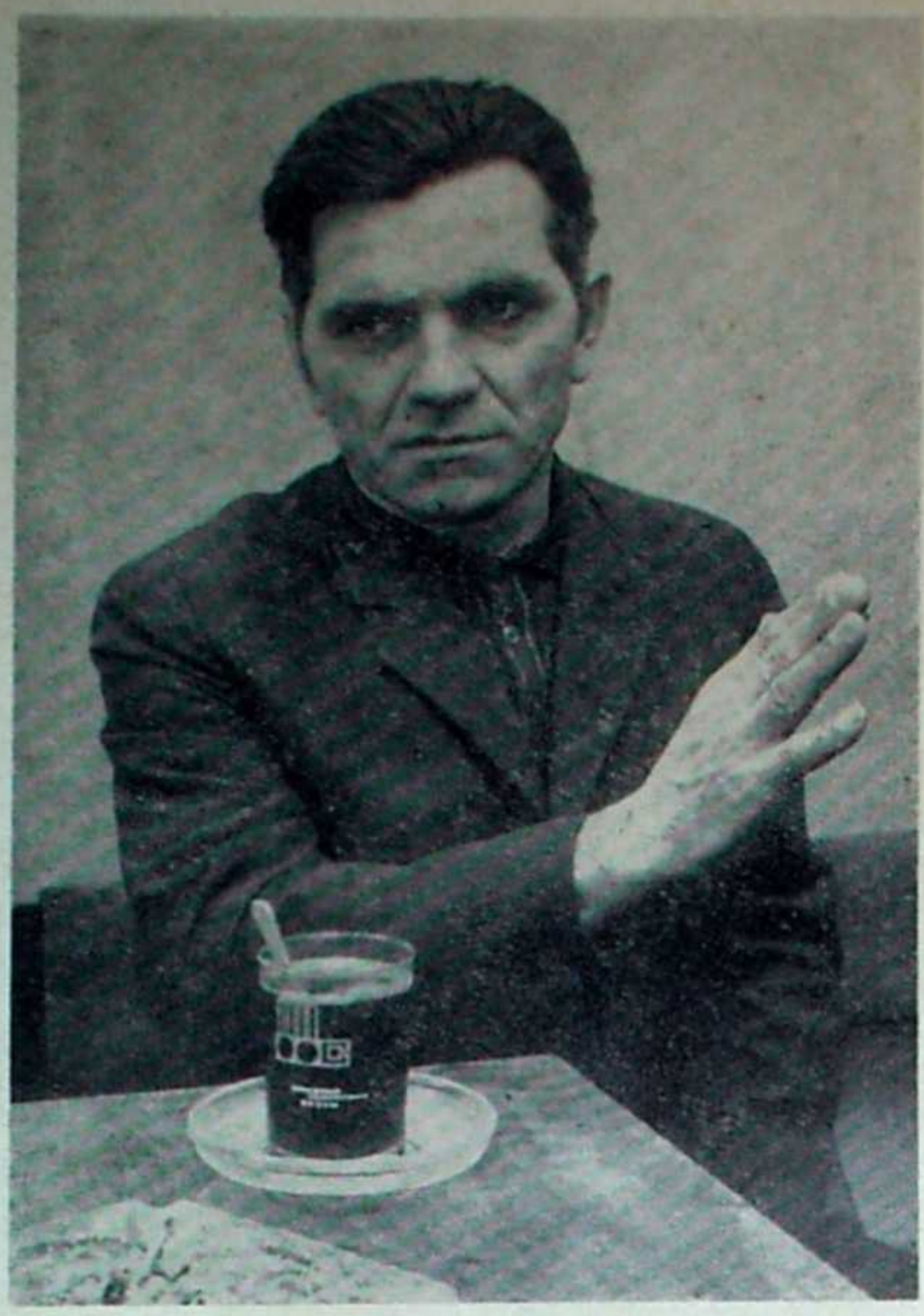

Stanisław Ciechan: Myślę, że nasza rodzina ustaliła się już na dobre, jako rodzina robotnicza...

Fot. CAF (Z. Jaśkiewicz)

DELEGAT

raturą i obrotami może natomiast przedłużyć żywotność pieca o całe miesiące. Norma przewiduje wykorzystywanie pieców bez remontu w okresie 9—10 miesięcy. Ciechan i jemu podobni potrafią przeciągnąć ich sprawność do półtora roku. W 1972 roku Wydział Wypału wyprodukował 43 tysiące ton klinkieru ponad plan, a w wyniku tego zarobki wzrosły średnio o 500 złotych miesięcznie.

— Jakie było pana największe przeżycie? — pytam w pewnym momencie Ciechana.

— Ubiegłoroczna wizyta u towarzysza Gierka. To było w maju, w dniu Święta Budowlanych. Jako jedyny z województwa lubelskiego znalazłem się wśród trzydziestu osób reprezentujących nasz resort.

Spotkanie odbywało się w sali gmachu KC PZPR. Zastaliśmy tam ustawione w podkowę krzesła i stół, za którym po chwili zasiedli towarzysze: Gierek, Jaroszewicz, Mitręga, Karkoszka... Byłem bardzo wzruszony i... speszony. Ale już po chwili to minęło; ci — siedzący w półkolu i ci — za stołem przemieszali się. Chyba nigdy jeszcze nie znalazłem tak serdecznej atmosfery w środowisku ludzi znanych mi, ale bądź co bądź przecież obcych. Tych ludzi cechuje jakaś niezwykła prostota, życzliwość, coś, co bym nazwał „rodzinnością". To spotkanie, podczas którego poruszaliśmy sprawy wielkie i małe, produkcyjne i rodzinne, osobiste i ogólnoludzkie, dało mi tyle, ile by nie potrafiła dać i dwuletnia szkoła polityczna! A przecież wszystko trwało zaledwie dwie godziny... Ile się zmieniło w Polsce! — myślałem później.

Urodził się Stanisław Ciechan w Trawnikach, w maleńkim domku skleconym w pocie czoła przez ojca, sezonowego robotnika w miejscowej cukrowni. Rok później ojciec umarł. Zadawniona choroba nerek, brak środków na leczenie, zrujnowany z niedożywienia organizm. Dalej wszystko potoczyło się jak w takich wypadkach było do przewidzenia; matka, obarczona trojgiem dzieci, nie posiadająca zawodu, miota się pomiędzy pracą służącej w dworach, a zajęciem wyrobnicy u bogatszych gospodarzy. W miarę podrastania dzieci muszą same zarabiać na siebie — siostra i starszy brat w wieku kilkunastu lat harują ciężko na roli. Stanisława zgadza się ktoś przyjąć na pomocnika pastucha. Nie dostają ani grosza zapłaty, chleb jest z zasady „pod wydział", a kiedy gospodyni gotuje gęściejszą zupę, nawet tego chleba im odmawia. Z czasów takiej wędrówki od jednego „chlebodawcy" do drugiego Stanisław Ciechan zapamiętał i takie miejsce, gdzie pies gospodarza spał na specjalnym posłaniu w pokoju, podczas gdy on — w sieni na klepisku, mając za jedyną pościel zniszczoną kapotę. Łatwo zrozumieć, że w takich warunkach do szkoły chodził od przypadku do przypadku, a podstawową edukację miał uzupełnić dopiero kilkanaście lat później, już jako chełmski robotnik, głowa rodziny, ojciec dwojga dzieci.

Z nędzy nie zdołały go wyrwać nawet wielkie przemiany, jakie nadeszły wraz z odzyskaniem niepodległości i powstaniem Polski Ludowej. Brat poszedł do wojska, tam istniała możliwość nauki i zdobycia zawodu. To dzięki wojsku zdał maturę i ukończył wyższe studia techniczne. Ale Stanisław tkwił dalej na wsi i dopiero w 1949 r. wraz z kolegą, Mieczysławem Knapem, wyruszył bez grosza przy duszy na Śląsk, do Katowic, bo słyszeli z radia „że tam się Polska buduje". Pracowali więc na budowie, mieszkali po czternastu w izbach baraków zwanych szumnie „hotelami robotniczymi"... i nigdy dotąd nie było Stanisławowi Ciechanowi tak dobrze, jak właśnie wtedy: po raz pierwszy od wczesnego dzieciństwa miał własne łóżko i własną pościel. I był najedzony.

Marzył zawsze, żeby zostać górnikiem. Cóż więc sprawiło, że już po roku wrócił na Lubelszczyznę? Tęsknota za wsią? Namowy kolegów, którym rozłąka z rodzinami wydawała się zbyt ciężka? Trudno dziś powiedzieć. Następne dwa lata przepracował w jednym z lubelskich POM-ów, odbył chlubnie służbę wojskową gdzieś przy czechosłowackiej granicy i oto w wieku dwudziestu dwóch lat ostatecznie zdecydował się zerwać ze wsią. To właśnie w wojsku rozpoczął się okres kształtowania jego świadomości społecznej, tam wstąpił do partii, ale w pełni ukształtować go jako człowieka miała dopiero cementownia.

Cementownia szokowała rozmachem wielkiej budowy, gromadami fachowców przybywających z całej Polski, atmosferą organizacyjnej i technicznej prężności. Wszystko to oddziaływało mobilizująco także na ludność trochę sennego dotąd Chełma. Tam, gdzie jeszcze w 1957 r. rozciągały się krzaczaste tereny „małpiego gaju", w połowie roku 1960 zapalono pierwszy piec, a już czwartego grudnia, na „Barbórkę", posypał się cementowy klinkier z sześciu pieców.

Zakład proponował ludziom z okolicy dobre zarobki, mieszkania, możliwość dalszej nauki, co w perspektywie wiązało się z otrzymaniem lepszego stanowiska. Ciechan od kilku lat tkwił wówczas w Chełmskich Zakładach Metalowych, dusząc się wraz z chorowitą żoną i dwojgiem dzieci w wilgotnej suterenie przy ulicy Pocztowej. Zarabiał nieźle, wyspecjalizowawszy się w odlewaniu części do kieratów, ale nie widział dla siebie atrakcyjnych perspektyw na przyszłość. Tym bardziej, że produkcja zaczęła spadać, bo rolnicy coraz częściej oglądali się za silnikami elektrycznymi. Toteż gdy w fabryce pojawili się werbownicy z cementowni, kuszący między innymi obietnicą przydziału mieszkania służbowego, Stanisław Ciechan nie namyślał się ani chwili. Obietnice sprawdziły się. Rok po przekroczeniu bram cementowni Ciechan stał się posiadaczem mieszkania, o jakim mu się dotąd nawet nie śniło: dwa pokoje z kuchnią i łazienką, przestronne, wygodne, razem ponad 52 metry kwadratowe!

Dwa miesiące po przyjęciu do pracy posłano go na dziesięciomiesięczną praktykę do cementowni w Rejowcu, a zaraz potem na trzytygodniowy kurs młynarzy cementowych do Sosnowca. Wtedy to, w wieku 28 lat, otrzymał pierwszy w życiu dyplom: wykwalifikowanego robotnika.

W czerwcu 1960 r. ruszyły pierwsze młyny cementowe. Praca przy nich związana jest nierozłącznie z ogłuszającym hałasem i tumanem pyłu, wciskającego się w każdą szczelinę. Tutaj też dały o sobie znać racjonalizatorskie zdolności Ciechana. Najpierw skonstruował dźwiękо- i pyłochłonną kabinę, zapewniającą młynarzom chwilę wytchnienia, następnie zaprojektował urządzenie podające klinkier do młyna, co pozwala zakładowi zaoszczędzić pół miliona złotych rocznie, zaś samemu projektodawcy przyniosło pokaźną nagrodę.

Przy młynach Stanisław Ciechan przepracował dziesięć lat. Dorobił się w tym czasie pliku dyplomów, odznak związkowych i Zasłużonego dla Lubelszczyzny, Brązowego Krzyża Zasługi, a przede wszystkim — uznania zwierzchników i szacunku współtowarzyszy pracy. To właśnie jego, członka partii z dwudziestoletnim stażem, wybrano w ubiegłym roku I sekretarzem Oddziałowej Organizacji Partyjnej, a ostatnio delegatem na Wojewódzką Konferencję Partyjną.

Niewysoki, drobnej budowy, w granatowej jesionce i czarnym berecie na głowie, wmieszany w tłum robotników stemplujących karty kontrolne przy wejściu do Zakładów, jest Stanisław Ciechan po prostu jednym z tych, którym nowy ustrój dał szansę startu życiowego i którzy tę szansę potrafili wykorzystać.

— Myślę — powiada reporterowi — że nasza rodzina ustaliła się już na dobre jako rodzina robotnicza. I że zapuściliśmy na stałe korzenie w chełmskiej kredzie. Ja stoję przy piecu, syn i córka kończą szkołę zawodową przy cementowni. Wkrótce obejmą tutaj stanowiska elektryków. A gdyby chcieli się kształcić dalej... Cóż, warunki po temu dzisiaj są.

Mirosław Derecki

Dokończenie ze str. 1

tony cementowego klinkieru trzeba wtłoczyć do komory spiekania 340 kilogramów pyłu węglowego. Co godzinę z każdego pieca wypada 17 do 18 ton klinkieru, w ciągu doby 405 ton tego cementowego półproduktu. W bieżącym roku Kombinat Cementowy „Chełm", obejmujący cementownie „Chełm 1" i „Chełm 2", cementownię „Pokój" w Rejowcu i Zakład Kopalń Surowców Cementowych, wyprodukuje trzy miliony trzysta siedemdziesiąt tysięcy ton cementu! Sto sześćdziesiąt sześć tysięcy ton więcej niż w roku ubiegłym.

Automatyzacja, mechanizacja, elektronika... A jednak nawet przy tym zalewie nowoczesności niektóre „operacje" wykonuje się metodą wymyśloną i dobrze sprawdzoną przez prapradziadków: wypalacz klinkieru, obstawiony elektronowymi urządzeniami, rozpala wygaszony piec przy pomocy porąbanego drzewa i zwykłej zapałki. I takie właśnie rozpalanie to jedna z najbardziej niebezpiecznych czynności w jego pracy: jeżeli wpuści się za dużo powietrza, jeśli zbytnio otworzy się „żaluzje", ogień potrafi buchnąć w przeciwnym kierunku, wyrwać okienko wizjera, poparzyć obsługę...

Wszystko to opowiada mi Stanisław Ciechan, jeden z tych, którzy czuwają nad pracą pieców, jeden z nielicznych kręcących się po hali ludzi, ubranych w błękitne kombinezony i czerwone hełmy ochronne.

Ciechan — czterdzieści jeden lat życia, trzynaście lat przepracowanych w cementowni, podczas których ani razu nie spóźnił się do pracy, nie opuścił ani jednego dnia. Wyróżniający się opanowaniem, roztropnością, inteligencją, ogromnym poczuciem odpowiedzialności. Ludzi o takich właśnie cechach wyławia się spośród setek robotników, wysyła na długie szkolenia, aby wreszcie oddać w ich ręce urządzenia kosztujące miliony. Wystarczy chwila nieuwagi, aby temperatura panująca w strefie spiekania przeniosła się w głąb pieca — i już następuje awaria. Piec trzeba wygaszać, zakładać nowe urządzenia, na dłuższy czas staje jedna z „nitek" produkcji, zakład ma kolosalne straty. Doświadczony wypalacz, operując odpowiednio tempe-

Pokażą za rok?

Dokończenie ze str. 1

milionów złotych. To jeden z największych tego typu w Polsce. Produkuje się w nim prawie tonę masła na godzinę.

Nowy gość z Lublina. Kierownik Wydziału Rolnego KW PZPR, tow. Wiesław Łakomski, który też przyjechał na posiedzenie egzekutywy. Ostatnia wymiana poglądów, przeglądanie materiałów. Dzisiejsza egzekutywa ma właśnie zatwierdzić harmonogram prac w zakresie rozwoju pogłowia bydła w powiecie radzyńskim.

Rozmowa staje się bardziej specjalistyczna. Nie próbuję się do niej włączyć, rzucam okiem na przygotowany materiał.

„Dotychczasowe wysiłki w zakresie pozostawienia do dalszego chowu maksymalnej ilości cieląt zdrowo urodzonych nie zawsze dawały rezultaty... Istnieje możliwość zatrzymania jeszcze do dalszego chowu około 4 200 sztuk cieląt, które w większości są przeznaczone na ubój gospodarczy... Zadania w zakresie wzrostu pogłowia bydła określone dla powiatu radzyńskiego programem wojewódzkim zakładają osiągnięcie w 1973 r. pogłowia w wysokości 52 tysięcy... Wyniki przeprowadzonych rozmów z rolnikami i podpisanie porozumień produkcyjnych na lata 1973—1975 pozwalają przypuszczać, że zadania określone planem gospodarczym na bieżącą pięciolatkę powinny być wykonane".

Liczby, liczby, procenty, procenty... Batalia o mięso, którego brak tak nam się ciągle daje we znaki. Przez lata mieliśmy ambicję, aby uprzemysłowić nasze województwo. Wiele zdziałaliśmy, ale często z pola widzenia wymykała nam się wieś.

WORSY

Posiedzenie egzekutywy już po piętnastu minutach zostaje przerwane. Członkowie egzekutywy i zaproszeni goście-działacze gospodarczy dzielą się na sześć zespołów. Wchodzę w skład jednego z nich i m. in. wspólnie z towarzyszami Łakomskim i Pilusiem jedziemy w rejon Kanału Wieprz-Krzna.

Zatrzymujemy się w Worsach. Wchodzimy do pierwszego z brzegu obejścia. Gospodarz nieco zaskoczony wizytą.

— Może nam pan pokaże...

— Na przykład co?

— A oborę...

— Ot, typowa obora.

— Dużo w niej majątku?

— Co tam! Dwa ogony.

— Trochę mało. Łąki ma pan zmeliorowane?

— Niby tak. Niedużo tego, trzy hektary.

— Ale wszędzie można z kosiarką chodzić?

— A wszędzie, wszędzie...

— Ile pan siana zbiera z hektara? Tak na wagę, to może ciężko obliczyć. Ile wozów? Albo jeszcze inaczej: ile ma pan w tej chwili siana do sprzedania?

— Ani deka!

— To już się orientujemy...

— A ile ma pan pokosów? — wtrąca tow. Łakomski.

— Dwa pokosy i to jak czasem. Gdy lato słabe, to i jeden się zdarzy.

— Rozmawiali tu z panem, żeby zwiększyć hodowlę bydła?

— A jakże! Na zebraniach mówi się o tym.

— Panie, ale to jakoś słabo u pana! Z trzech hektarów nic pan siana nie sprzedaje i trzyma tylko dwie krowy?

— Jeszcze mam parę koni. Trzy hektary, ale w tym i pastwisko! Żebym to ja wszystko kosił!

— Więc co? Mówi się na zebraniach o zwiększeniu hodowli bydła. Dostawi pan tu do obory jeszcze jedną sztukę? — nagabuje tow. Piluś.

— Muszę dać radę, bo mnie jest za mało dwie sztuki trzymać. Ja sam wiem, że za mało. O, tamtą niedawno kupiłem za 5 700 zł.

— To dokupi pan jeszcze jedną?

— Dokupić to nie. Jak się ocieli, to będę trzymał. Nie mam pieniędzy, bo buduję stodołę.

— A wie pan, że nasz powiat — agituje dalej tow. Piluś — ma najmniejszą obsadę bydła w województwie?

— Może i tak. Nie wiem, dlaczego. Łąki są przecież, a ludzie za dużo bydła nie trzymają. Ja bym się chętnie pomieniał. Ornego bym dał, a wziąłbym z hektar łąki. No i z tym kanałem trzeba by dalej coś robić. Tutaj dół jest taki, woda podchodzi pod wieś, a w górze tylko, tylko... Jakieś grobelki zrobić, czy co...

Idziemy dalej. Proszę jeszcze o nazwisko rozmówcy:

— Ołtuszyk Stanisław.

*

Sąsiad przez płot. O, tu już dużo lepiej. W oborze jedenaście sztuk bydła, w tym sześć dojnych krów.

— Dużo dają mleka?

— Nie za wiele. Siano nie za specjalne.

— A kiszonki pan nie zrobił?

— Nie zrobiłem.

— Szkoda.

— Panowie, mnie nie tak łatwo. My na gospodarce sami, ja i żona, trochę teściowa pomaga.

— Zamierza pan dalej specjalizować się w hodowli bydła?

— Tak, bo mi pasuje. Mleczarnia blisko. Tylko z tymi tłuszczami to nie jest tam dobrze. W jednym miesiącu będzie 3,4 proc. tłuszczu, a w drugim 2,7. Coś tu nie gra, coś tu niewyraźnie.

— A ile pan dziennie odstawia mleka do mleczarni?

Stefan Mazur: — Panowie, mnie nie tak łatwo...

Kamena str. 6

O Park na Roztoczu

Dominik Fijałkowski

W roku 1959 ogłoszono w „Sylwanie" artykuł profesorów UMCS D. Fijałkowskiego i K. Izdebskiego, przedstawiający wniosek utworzenia Parku Narodowego na Roztoczu. W ciągu następnych lat prowadzono żywą akcję informacyjną wśród placówek naukowych i administracyjnych oraz mieszkańców Lubelszczyzny. Brał i bierze w niej udział obok pracowników naukowych UMCS także Wojewódzki Komitet Ochrony Środowiska Człowieka. Uwieńczeniem tej społecznej akcji było zdecydowanie pozytywne ustosunkowanie się do projektu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie i zorganizowanie przez niego w lipcu 1966 r. narady terenowej w Zwierzyńcu. Od tego czasu starania weszły w stadium realizacji u władz naczelnych Państwowej Rady Ochrony Przyrody.

Równolegle do działalności popularyzatorskiej prowadzone były wielokierunkowe badania naukowe. Ich wynikiem jest opublikowanie ponad 50 prac geobotanicznych, ponad 30 prac zoologicznych i kilkunastu geomorfologicznych.

Projektowany Park leży niemal całkowicie w granicach Roztocza Środkowego. Mimo to reprezentuje on stosunki geomorfologiczne, glebowe, florystyczne i faunistyczne pięciu przyległych regionów geobotanicznych Lubelszczyzny.

Z południa wchodzą tu bowiem nisko położone i podmokłe lasy, charakterystyczne dla piaszczystych gleb bielicowych Równiny Puszczańskiej. Na zachodzie przylegają gleby brunatne, wytworzone z lessów, zajęte przez lasy bukowe właściwe dla Roztocza Zachodniego. Od północo-zachodu nieco podobne gleby i lasy nawiązują do Grzędy Sokalskiej. Od strony północnej wchodzi wiele elementów Padołu Zamojskiego z ciężkimi próchnicznymi rędzinami kredowymi i florą stepową. Środkowe i południowo-wschodnie partie lasów zwierzyniecko-kosobudzkich charakteryzuje podłoże głównie piaszczyste i gezy, właściwe Roztoczu Środkowemu. Dość jednolity kompleks leśny Parku rozdziela wąska tu dolina górnego Wieprza. W okolicy stacji kolejowej Zwierzyniec — Biały Słup łączy się ów kompleks z Padołem Zwierzynieckim, wykształconym w postaci szerokiej, podmokłej doliny, przecinającej poprzecznie wał Roztocza. Wzdłuż Padołu płynie mały dopływ Wieprza — Świerszcz, zasilający swymi wodami stawy Echo, malowniczo położone w środku projektowanego Parku. Dolinę Padołu oraz dolne partie zboczy wyścielają grube pokłady piasków i żwirów, które tworzą miejscami wysokie do kilkunastu metrów wały. Wzniesienia wyższe od tych wałów (do 320 m n.p.m.) zbudowane są głównie ze skał kredowych i trzeciorzędowych. Wysokie wzniesienia powodują, że ilość opadów jest tu znacznie wyższa (do 750 mm rocznie) niż na pozostałych terenach (około 550 mm).

Lasy zwierzyniecko-kosobudzkie przeszły od 1589 r. we władanie Ordynacji Zamojskich. Rezydencję Ordynacji założyła Gryzelda Wiśniowiecka — wnuczka kanclerza Jana Zamojskiego, żona Jeremiego Wiśniowieckiego. Prawie równocześnie z założeniem Ordynacji utworzono na terenie obecnych stawów Echo pierwszy w Polsce zwierzyniec, od którego pochodzi nazwa dzisiejszego osiedla. W zwierzyńcu utrzymywano wiele zwierząt, między innymi ostatnie na świecie tarpany, od których pochodzą współcześnie selekcjonowane tarpany białowieskie. Stwierdzono, że ostatnie żyjące na świecie tury zginęły właśnie w projektowanym dziś Parku Narodowym, a nie w lasach mazowieckich w 1627 r.

Piękną akcją ochroniarską okresu międzywojennego było wydanie pierwszego w Polsce zarządzenia o ochronie ptaków drapieżnych na Roztoczu Środkowym i utworzenie kilku rezerwatów.

Badania zbiorowisk leśnych projektowanego Parku, prowadzone przez Izdebskiego i Fijałkowskiego, wykazały, że są one bardzo urozmaicone. Daje się w nich wyróżnić 10 podstawowych zespołów leśnych oraz kilka zespołów łąkowo-bagiennych i synantropijnych. Panującymi zespołami leśnymi są buczyna karpacka i bór jodłowy. W pierwszym z nich panuje buk z żyznym runem grądowym, w drugim — jodła z runem wykazującym siedliska uboższe i kwaśne. Mimo to jodła osiąga tu najwyższe w Polsce i Europie wysokości (ponad 53 m) i ma największy w Europie zapas drewna na 1 ha (około 1000 m sześc.). Są to typy lasu charakterystyczne dla strefy górskiej regla dolnego. Na taki charakter tych lasów wskazuje również i runo, bogate w górskie gatunki paproci, storczyków, czosnków i wiele elementów fauny. Drzewostany z domieszką buka i jodły towarzyszą i innym występującym tu zespołom roślinnym, a zwłaszcza żyznym lasom grądowym dębowo-grabowo-lipowym, niekiedy dąbrowie świetlistej i borom sosnowym oraz wilgotnym borom świerkowo-sosnowym. W podmokłych dolinach Wieprza i Świerszcza rosną lasy olszowe, przypominające miejscami łęgi.

Temu dużemu zróżnicowaniu zbiorowisk leśnych — największemu w Polsce niżowej — towarzyszy również bardzo osobliwa flora i fauna. W wielu przypadkach ma ona charakter reliktowy — jako pozostałość po różnych typach flor, które zmieniały się po okresie lodowym w zależności od zmieniającego się klimatu i reprezentują odległe obecnie regiony roślinne. Dotychczas stwierdzono w projektowanym Parku, wśród roślinności naczyniowej, 155 gatunków pochodzenia środkowo-europejskiego, 129 gatunków północnych, 46 górskich, 33 stepowe, 25 południowo-syberyjskich, 13 atlantyckich i 11 śródziemnomorskich. Faktycznie liczba ta jest jeszcze większa, gdyż badania przynoszą co roku nowe zaskakujące odkrycia. Pod względem osobliwości botanicznych teren ten zajmuje 4—5 miejsce wśród 11 istniejących i 2 projektowanych parków narodowych Polski.

W widnych dąbrowach świetlistych i na lokalnych polankach, w obrębie projektowanego Parku lub w jego pobliżu, rosną liczne gatunki stepowe: milek wiosenny, oman wąskolistny, len złocisty, goryn alzacki, turzyca niska, storczyk kukawka, obuwik, wisienka karłowata, ciemiężyca czarna, róża francuska, ostrożeń pannoński. Wśród widnych lasów bukowych i dębowych zaś groszek alzacki, miodunka, czosnek niedźwiedzi, czosnek siatkowaty, liczne storczyki, pokrzyk-wilcza jagoda, śnieżyczka.

W cienistych wąwozach bukowych i bukowo-jodłowych stwierdzono szczególnie liczne gatunki paproci i kokorycz pustą. W borach sosnowo-jodłowo-świerkowych występują: zimozioł północny, przytulia okrągłolistna, tajęża jednostronna, żłobik koralowaty, paprotnica sudecka oraz wiele innych gatunków.

Obuwik pospolity w rezerwacie „Maziarki" koło Zamościa

Fot. K. Izdebski

Na lokalnych łąkach i miejscach podmokłych rosną: brzoza niska, wierzba borówkolistna, gnidosz królewski, widłak torfowy, wąkrota zwyczajna, rosiczki, rzadkie gatunki turzyc, przygiełki, pływacze, rzęsa garbata i wiele innych. Występuje też dużo rzadkich gatunków mszaków i porostów.

Podobnie jak flora, zróżnicowana jest i fauna. Do największych osobliwości należą: wąż eskulapa — jedyne tu w Polsce stanowisko na niżu, padalec turkusowy, salamandra plamista, dzięcioł białogrzbietny, nadobnica alpejska, niepylak apollo, niepylak mnemozyna, wiele gatunków osobliwych świdrzyków, pajęczaków i innych.

Duże zróżnicowanie drzewostanów w projektowanym Parku Narodowym i nagromadzenie osobliwych roślin stanowiło podstawę do wszczęcia starań o tworzenie rezerwatów. Obecnie mamy ich w tym terenie aż 10. Są nimi: Kamienna Góra (powierzchnia 28,82 ha), Bukowa Góra (198,42 ha), Obrocz (70,97 ha), Nart-Czerkies (480,51 ha), Jarugi (112,56 ha), Krzywionka, im. Z. Czubińskiego, Stoki nad Wieprzem, Stoki, Maziarki. Łącznie zajmują one 1 150,19 ha.

Rezerwat Kamienna Góra charakteryzuje się przede wszystkim naturalnym drzewostanem bukowo-jodłowym i bukowym z gromadnie występującą śnieżyczką. Bukowa Góra ma najpiękniejsze bory jodłowe i jodłowo-sosnowe. Obrocz, podobnie jak Nart-Czerkies i Krzywionka, kryją w bukowym i jodłowym drzewostanie bogate stanowiska rzadkich gatunków roślin, a piękne, głębokie wąwozy stwarzają wrażenie przebywania wśród gór.

Rezerwat Jarugi charakteryzuje występowanie w bukowo-jodłowym drzewostanie starych lip, należących do dwóch gatunków — pospolitej lipy drobnolistnej i bardzo rzadkiej — wielkolistnej. Rezerwat im. Z. Czubińskiego to głównie piękny bór jodłowy. Niestety, przed objęciem ochroną prawną został silnie przecięty. Pozostałe rezerwaty mają na celu przede wszystkim ochronę rzadkich gatunków: zimoziołu północnego w rezerwacie Stoki, czosnku siatkowatego w rezerwacie Stoki nad Wieprzem i obuwika w rezerwacie Maziarki.

Na terenie projektowanego Parku występuje też kilka pomników przyrody: Horodyszcze z zimoziołem północnym, Florianka z dębem szypułkowym o obwodzie 660 cm, Zwierzyniec z aleją jodłowo-bukową, prowadzącą do mogiły powstańców z 1863 r. i Płaczący Kamień, pokryty rzadkimi paprotkami górskimi, zwanymi zaznokcicami.

Na Roztoczu jeszcze przed 10 laty spotkać można było zaledwie pojedyncze osoby, szukające spokoju wśród doskonałych warunków klimatycznych, pięknych lasów i cichych wiosek, lub odbywających marsze po mało znanych zakątkach leśnych. Również nielicznie wybierano się tu na zbiory jagód i grzybów. Wycieczki szkolne należały do rzadkości. W ciągu ostatnich 10 lat ruch turystyczny i wczasowy zwiększył się prawie stokrotnie. Sprzyjają mu liczne szlaki turystyczne i drogi bite, przebiegające z północy na południe oraz z zachodu na wschód. Nadto dobrą łączność zapewniają dwie linie kolejowe: Lublin — Bełżec i Zwierzyniec — Biłgoraj. Dzięki temu tereny te odwiedzają coraz bardziej masowo nie tylko mieszkańcy Zwierzyńca lub pobliskiego Biłgoraja czy Zamościa, ale również Chełma, Lublina i Puław, a także turyści i wczasowicze spoza województwa. Te zjawiska trzeba rozwijać, ale jednocześnie konieczne jest rozważne nimi kierowanie. Nieprzemyślane decyzje mogą odbić się bardzo niekorzystnie na lasach Roztocza, a zwłaszcza na jego najpiękniejszych fragmentach w rejonie Zwierzyńca i Kosobud.

Lasy zwierzyniecko-kosobudzkie były również jedną z najpoważniejszych na Lubelszczyźnie i w Polsce baz ruchu partyzanckiego, a zarazem terenem największych prześladowań ludności przez okupanta np. wsie Szozdy i Sochy). Trwałe uczczenie prowadzonych tu walk i przeżytych cierpień przez bohaterską ludność Ziemi Zamojskiej zapewni najlepiej szybkie powołanie Parku Narodowego.

— 40 litrów. A jedna krowa ma jeszcze cielaka.

— Dużo ma pan hektarów?

— Będzie kilkanaście. Pół na pół łąk i ziemi ornej.

— Jak pan ma tyle łąk, to powinien się pan przede wszystkim zająć hodowlą. Jeszcze może ją pan zwiększyć!

— Dobrze, dobrze, ale gdy ja przez rok pole zaniedbam, to już jest źle.

— Mówił pan — wtrącam się do rozmowy — że gospodarzy tylko z żoną i teściową. Jak sądzę na oko, nie przekroczył pan pięćdziesiątki. Nie ma pan dzieci?

— Jedna wyszła za mąż, tu w wiosce nawet jest, mieli wziąć ode mnie ziemię i nie chcą (*Co za czasy! Jeszcze żyje w pamięci walka o ziemię w telewizyjnych „Chłopach"!*), mówią, że mają swoją; druga kończy technikum w Lublinie, a trzecia chodzi do podstawówki. Tyle wszystkiego.

Zapisuję nazwisko rozmówcy: Stefan Mazur.

SZÓSTKA

Kolejna wieś: Szóstka. Tow. Piluś dobrze zna te strony, chce nam pokazać wzorowe gospodarstwo. Duży drewniany dom, tabliczka z numerem i nazwiskiem właścicieli: Andrzej i Antoni Olesiejukowie. Młody gospodarz właśnie przed chwilą wyjechał, jest tylko jego żona, Albina, z córeczką. Mała ma na oczach ciemne okulary.

— Chora?

— Coś jej się zrobiło. Widzi pan, spawali i się napatrzyła. Dostała lekarstwo, nie bardzo pomaga.

Na podwórku — dwie nowe budowle, obie murowane: obora i chlewnia. Ta ostatnia jeszcze nie wykończona całkowicie. W środku trwają intensywne prace.

— Ładnie to zrobił! — wyrywa się któremuś z nas.

Przed oborą wisi świeżo zabity baran.

— Warto zostać na obiad! — żartuję.

— Bardzo proszę — odpowiada gospodyni — ale chyba dopiero na kolację zdoła się mięso ugotować. Sąsiad od siódmej rano do drugiej w nocy pichcił!

— No to my jutro przyjedziemy — śmiejemy się.

Nie można od p. Albiny wiele wydobyć. „To mąż wie. Ja się nie orientuję" — tak niemal przy każdym pytaniu.

— To ile krów macie? Raz dwa, trzy...

— Jest tego trochę. O, tu się ocieliła. Dobry był buhaj i są dwojaczki. Jakie śliczne!

— ...cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć...

— Więcej jest jeszcze — do rozmowy wtrąca się teść.

— Po dziurach siedzą w czasie tej budowy.

— Ale chlewnię będziecie mieli na medal. Ile w niej sztuk się zmieści?

— Mąż mówi, że i setka.

*

U sąsiadów Prokopiuków nieco gorzej, choć zięć, Piotr Borek, skończył szkołę rolniczą. Z góry stwierdza, że choć ma cztery hektary łąk, to ich wydajność jest bardzo niska.

— Dobrze, a stosunki wodne, z panem tak można rozmawiać, bo pan po szkole, uregulowane?

— Niby tak.

— A ile ma pan teraz siana do sprzedania?

— Nic.

— Zaraz. Słyszałem, że ma pan dwie krowy, cztery hektary łąk, to musiał pan przedtem sprzedać trochę siana?

— Nie. Co ja tam zbieram z hektara? Koło 30, 40 kwintali. A nawozów dużo sypiemy. U nas tak: jak sucho, to brak wody, a jak nam wypali, to dopiero dadzą wodę. Wtedy nawadniają, kiedy nie trzeba.

— A budujecie się?

— Tak. Oborę.

— To może obejrzymy?

— Nie, nie, tam na razie tylko króliki hasają. Nic tam nie ma, niech panowie nie idą! — zapiera się teściowa Prokopiukowa. — Niech panowie tam się nie pakują!

Nie kapitulujemy jednak łatwo. W głębi, za starą oborą jest już nowa, gotowa. Ale bałagan rzeczywiście w niej wielki.

— Coś za wąska ta obora!

— Bo za mało było placu.

— To trzeba było zburzyć tę starą...

— A dziadek by dał? Ile tu było krzyku! Dziadek się przyzwyczaił, nachodził koło tego.

WÓLKA ŁÓZECKA

Jeszcze jedno gospodarstwo. Tym razem w Wólce Łózeckiej. Stary dom, wybudowany w latach dwudziestych, trzyma się dobrze. Murowany. Piotr Hukaniuk z żoną i synem obrabia 15 hektarów...

— Piętnaście? — przerywa. — My jeszcze mamy dwanaście po dziadkach. Roboty huk.

Nowe budynki gospodarskie. Jest traktor. Duży zapas siana. Bydła sporo, ale nie można powiedzieć, by wszystkie możliwości hodowlane zostały już wyczerpane.

*

W samochodzie wymieniamy na gorąco poglądy.

— Ruszyło się i w Radzyńskiem.

— Jeszcze rok, dwa, trzy, a pokażemy województwu — mówi więcej poważnie niż żartobliwie sekretarz rolny, tow. Piluś. — W naszym powiecie nie było tradycji hodowlanych. Kanał, choć na niego czasem się narzeka, swoje jednak zrobił, a zbudowanie mleczarni uzmysłowiło chłopom, że hodowla to rzecz opłacalna. Nowa polityka rolna, podwyższone ceny skupu, to wszystko przyniesie rezultaty. Ludzie w mieście się niecierpliwią, chcieliby, żeby już dziś wszystko zagrało. Ale trzeba czasu, nim zwierzaki podrosną. No i trzeba nauczyć chłopów, aby gospodarzyli

Piotr Hukaniuk: — My jeszcze mamy dwanaście po dziadkach...

Zdjęcia autora

z głową. Najlepiej działa przykład osobisty. Propagujmy więc dobrych gospodarzy. Za nimi pójdą inni.

Byliśmy ponad trzy godziny w terenie. Za chwilę rozpocznie się część druga posiedzenia egzekutywy. Osobiste spostrzeżenia wzbogacają dyskusję. Ale o tym następnym razem.

Marek Adam Jaworski

Kamena str. 7

Kajetan Koźmian redivivus

Wiesław Śladkowski

NAKŁADEM Ossolineum ukazały się ostatnio długo oczekiwane pamiętniki Kajetana Koźmiana. Warto odnotować to istotne dla polskiej memuarystyki wydarzenie edytorskie.

Kajetan Koźmian w schyłkowym okresie Rzeczypospolitej, w latach Księstwa Warszawskiego i w czasach Królestwa Kongresowego był osobą znaną i głośną, zarówno na polu działalności publicznej i politycznej, jak i literatury. Obecnie pamięć o nim przygasła. Współczesnemu czytelnikowi, gdy sięga do szkolnych zasobów wiedzy wyniesionych z historii literatury, jawi się zwykle mocno uproszczony i stereotypowy obraz i osąd tej postaci. Jako czołowy przedstawiciel pseudoklasycyzmu, przeciwnik i rywal Mickiewicza już za swego życia przez niego pokonany, w latach następnych ostatecznie przygnieciony sławą i potęgą oddziaływania wieszcza romantycznego, został zepchnięty do bardziej ciemnych zakamarków dziejów literatury. Dzisiaj poza gronem specjalistów nikt już prawie nie czyta tak niegdyś podziwianych ód i poematów Koźmiana. W tej sytuacji edycja pamiętników skłania do krótkiego choćby przypomnienia życiorysu ich autora.

Kajetan Koźmian urodził się 31 grudnia 1771 r. w Gałęzowie, w województwie lubelskim. Pochodził z zamożnej rodziny szlacheckiej. Jego ojciec, Andrzej, sędzia ziemski lubelski był właścicielem kilku wiosek oraz wziętym palestrantem, czyli adwokatem przy Trybunale Lubelskim. Po ukończeniu z bardzo dobrymi wynikami szkół średnich w Zamościu i Lublinie młody Kajetan został dependentem u mecenasa Józefa Podhorodeńskiego w Lublinie. W charakterze sekretarza Lubelskiej Komisji Wojewódzkiej wziął udział w insurekcji kościuszkowskiej. W latach zaboru austriackiego gospodarzył na roli osiadłszy po śmierci ojca w rodzinnych Piotrowicach pod Bychawą. Z zapałem czytywał i studiował klasyków rzymskich i polskich, inspirujących jego pierwsze ody.

Ziemianin - poeta po raz drugi włączył się czynnie w nurt życia politycznego w r. 1809. W czasie wojny austriacko-francuskiej, gdy wojska księcia Józefa Poniatowskiego zajęły Lublin, obserwujący te wydarzenia Koźmian zdobył sobie powszechny rozgłos odą „Na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie". Objął wówczas urząd zastępcy przewodniczącego Komisji Lubelskiej, a po przyłączeniu Galicji do Księstwa Warszawskiego przeniósł się do Warszawy, gdzie otrzymał stanowisko referendarza Rady Stanu. W dobie Królestwa Kongresowego Koźmian wraz z wieloma innymi ofiarował ochotnie swe usługi nowemu władcy — Aleksandrowi I. Szybko też piął się po stopniach kariery urzędniczej, w r. 1821 osiągnął niemal ministerialne stanowisko dyrektora generalnego w Komisji Spraw Wewnętrznych i Policji, a w r. 1829 senatorską godność kasztelana. W latach poprzedzających powstanie listopadowe Koźmian stał się zdeklarowanym wyznawcą zasad konserwatywnych w polityce oraz klasycyzmu w poglądach literackich. Z pozycji tych zwalczał zaciekle utwory romantyczne Mickiewicza, którymi upajała się patriotyczna młodzież. Z chwilą wybuchu powstania opowiedział się bez przekonania po jego stronie. Po wzięciu Warszawy przez wojska carskie ostatecznie opuścił stolicę i wrócił do Piotrowic, w których spędził ostatnie lata swego długiego życia. Zmarł w r. 1856.

Za namową syna, Andrzeja Edwarda, w r. 1850, a więc gdy miał lat 80, zaczął pisać swe pamiętniki, które ukończył po 5 latach pracy, na kilka miesięcy przed zgonem. Na życie swe oraz wydarzenia i ludzi burzliwej epoki spojrzał ze znacznej perspektywy czasu. Celowo jednak stylizował obraz przeszłości zgodnie ze swymi przekonaniami konserwatywnymi. Jako pamiętnikarz posługiwał się językiem prostym, wolnym od napuszonej retoryki swych utworów poetyckich. Jak zwykle u człowieka w wieku podeszłym najchętniej wspominał lata swej młodości. Wypełnił ich opisem cały pierwszy tom pamiętników, doprowadzony do r. 1809. Charakteryzuje się on jednolitym tokiem narracji opartej na przeżyciach osobistych. Opisy domu rodzinnego i lat szkolnych w Zamościu i Lublinie, wspomnienia z Trybunału Lubelskiego czy też wielkopańskiego dworu Czartoryskich w Puławach, relacje o konfederacji targowickiej i insurekcji kościuszkowskiej, złożyły się na ciekawy i barwny obraz tych czasów. Tętni on bujnym życiem, rozbrzmiewa zgiełkiem i wrzawą ostatnich sejmików lubelskich i trybunalskich sesji sądowych, by za chwilę pogrążyć się w poetyckiej zadumie puławskiego parku. Pożegnawszy odchodzącą w bezpowrotną przeszłość Rzeczpospolitą szlachecką, po 13 latach niewoli austriackiej stał się Koźmian świadkiem i uczestnikiem narodzin nowej epoki.

Czasom Księstwa Warszawskiego poświęcił pamiętnikarz kolejny, drugi tom swych wspomnień. Jak sam przyznał, pod względem kompozycji stanowi on „mieszaninę i z rzeczy i z ich opowiadania". Pojawiły się w nim bowiem „zarysy" ogólnej sytuacji politycznej oraz obszerne charakterystyki wybitnych a znanych dobrze Koźmianowi ludzi, jak książę Józef Poniatowski, Stanisław Staszic czy Jan Paweł Woronicz. Podobny charakter ma tom III, w którym obok opisu pierwszych lat Królestwa Kongresowego i obszernej relacji z powstania listopadowego, znalazły się dalsze portrety biograficzne: cara Aleksandra I i gen. Józefa Zajączka, ordynata Stanisława Zamoyskiego i księcia Ksawerego Druckiego — Lubeckiego, Stanisława Mostowskiego i Ludwika Osińskiego. Koźmian podjął także ryzykowną próbę rehabilitacji w oczach potomnych potępianego powszechnie za swój serwilizm i ultrareakcyjne przekonania gen. Wincentego Krasińskiego, ojca Zygmunta. Dla czytelnika lubelskiego szczególnie interesującą lekturą stanie się z pewnością tom I, a także częściowo II. „Akcja" ich toczy się bowiem głównie na Lubelszczyźnie.

Interesujące były również losy edycji pamiętników Koźmiana. Pierwsze dwa tomy przygotował do druku syn poety, Andrzej Edward. Przeprowadził on konsekwentny retusz wszystkich fragmentów antymickiewiczowsko - romantycznych. Autor „Pana Tadeusza" był bowiem wciąż dla sędziwego pamiętnikarza „szatanem literatury i moralności". Zmiany te zostały podyktowane ogromną popularnością Mickiewicza w Polsce, dla ówczesnych czytelników napastliwe ataki Koźmiana byłyby nie do przyjęcia. Andrzej Edward stonował także te partie, w których jego ojciec z entuzjazmem i uwielbieniem pisał o carze Aleksandrze I. Z drugiej natomiast strony przytępił mocno ostrze jego zdecydowanej krytyki i wysoce negatywnych sądów w stosunku do powstania listopadowego. „Spreparowane" w ten sposób dwa pierwsze tomy pamiętników ukazały się drukiem w r. 1858 w Poznaniu. Tom trzeci odpowiednio „oczyszczony" przez redaktorów konserwatywnego „Czasu" oraz oficjalną cenzurę austriacką wyszedł w r. 1863 w Krakowie. Następna edycja wspomnień Kajetana Koźmiana obejmująca lata 1788—1815 została oparta o pierwodruk i wydana w r. 1907 w Warszawie.

W tej sytuacji z chwilą odnalezienia oryginalnego autografu pamiętników przechowywanego w Bibliotece PAN w Krakowie, nasunęła się konieczność ich ponownej edycji, zgodnej z rękopisem. Z myślą taką wystąpił w r. 1931 prof. Henryk Mościcki, następnie pracę nad ich wydaniem projektował prof. Emil Kipa, a po ich śmierci przeprowadził prof. dr Juliusz Willaume z Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie. Posiada on też najbardziej istotny udział w zbiorowej, w pełni krytycznej i naukowej redakcji obecnego wydania. Prof. Willaume, znakomity znawca epoki napoleońskiej i czasów Księstwa Warszawskiego oraz autor książki o wsi lubelskiej przed uwłaszczeniem, szczególnie powołany był do opracowania pamiętników Koźmiana. Dał też zasadniczy wstęp, w którym zwięźle lecz jasno i plastycznie przedstawił na tle epoki postać autora pamiętników oraz dokonał ich analizy historycznej. Ze znawstwem i erudycją opracował także komentarz, czyli przypisy rzeczowe objaśniające tekst wspomnień. Dla czytelnika lubelskiego poważny udział prof. Juliusza Willaume'a w tak istotnej dla stanu polskiego pamiętnikarstwa inprezie wydawniczej jest dodatkową satysfakcją.

Uwagi edytorskie oraz komentarz filologiczny opracowali Marian Kaczmarek i Kazimierz Pecold. Ich wnikliwe rozważania poświęcone tekstowi pamiętnika, zostały chyba niepotrzebnie poszerzone o osąd merytoryczny, który w pewnych wypadkach jest powtórzeniem myśli wyrażonych przez autora zasadniczego wstępu. Powtórzeń takich trudno jednak było uniknąć, skoro pamiętniki zostały poprzedzone przedmową i dwoma wstępami. Szkoda także, iż w przypisach zarówno komentarz historyczny jak i filologiczny został podany przy pomocy numeracji ciągłej, chociaż niekiedy ten drugi oznacza się literami. W sumie jednak pod względem edytorskim pamiętniki Koźmiana zostały opracowane wzorowo i stanowią jeszcze jedno osiągnięcie zasłużonej dla kultury polskiej oficyny, jaką jest Ossolineum.

Kajetan Koźmian, Pamiętniki, przedmowa — Artur Kopacz, wstęp oraz komentarz — Juliusz Willaume, wstęp edytorski oraz komentarz filologiczny — Marian Kaczmarek i Kazimierz Pecold, t. I—III, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wydawnictwo, 1972, ilustr. 10 + 5 + 7, cena t. I/III zł 120.

OPOWIADANIE UMARŁEJ

Stanisław Andrzej Łukowski

KRÓTKO ostrzyżona, chuda dziewczynka niemal nie zwracała na nas uwagi. Patrzyła uporczywie w czarną taflę okna zamazywanego smugami marcowego wilgotnego śniegu, jakby poza nim można było cokolwiek zobaczyć. Niekiedy tylko, gdy pociąg zatrzymywał się na jakiejś stacji, której nazwę zdołała odczytać, pytała monotonnie, nie odwracając głowy:

— Mamo, czy długo jeszcze? Kiedy wreszcie będziemy w domu?

Kobieta już po pięćdziesiątce, paląca papierosa za papierosem, o dużych i jakby ciągle wilgotnych oczach, niecierpliwie odpowiadała:

— Już niedługo, jeszcze kilka godzin. Niebawem będziemy w domu, a tymczasem zdrzemnij się, odpoczniesz trochę.

Przez ten czas wlokący się poprzez ciemność zabawialiśmy się zdawkową rozmową. Ot, jak to w podróży. A właściwie to odpowiadałem na liczne pytania kobiety, które męczyły mnie bardziej niż sama podróż w przesiąkniętym skwaśniałym odorem przedziale drugiej klasy. Odpowiadałem znużony, przez zmęczenie zupełnie szczery i bezradny, jako że w przedziale było nas tylko troje. Kiedy kobieta dowiedziała się, że mam żonę znacznie od siebie młodszą, zagadnęła znienacka:

— A czy uważa pan, że związek kobiety z mężczyzną, no powiedzmy, o siedemnaście lat od niej młodszym, jest jakiś niewłaściwy, nienaturalny i przeczący regułom?

Cóż mogłem odpowiedzieć? Byłem coraz bardziej senny i nie mogłem doczekać się stacji, na której miałem wysiąść. Bąknąłem coś przeto zdawkowo, że to zależy, jak się patrzy, co łączy ludzi i czego oczekują od siebie i jeszcze coś tam, z nadzieją, że może wreszcie będę miał spokój.

— Tak — powiedziała z sarkazmem kobieta. — Wy jesteście pokoleniem ludzi niezwykle praktycznych, trzeźwych. Wiecie, czego chcecie od życia i wiecie, jak należy to robić. Nie chcę pana obrażać, ale wy umiecie patrzeć na życie tylko z jednego punktu widzenia. Praktycznego. — Urwała i zapaliła nowego papierosa.

Nie podjąłem rozmowy. Stukot kół usypiał, dziewczynka uparcie patrzyła w okno, a kobieta nagle zapadła w siebie i milcząc paliła.

— Wie pan — podjęła po dłuższym milczeniu — znam jedną historię może trochę dziwną, a może po prostu zwyczajnie ludzką. — Przerwała i pogładziła dziewczynkę po głowie. — Spróbuj zasnąć — powiedziała. — Do domu jeszcze kawał drogi, a ten pociąg wlecze się, jak...

— Nie wiem, czy warto ją panu opowiedzieć — zwróciła się do mnie. Panu może wydać się śmieszna i głupia, a przecież... Wie pan — popatrzyła na dziewczynkę — moja siostra wyszła za mąż za pewnego człowieka, który był młodszy od niej o siedemnaście lat. Moja siostra miała wówczas zakład fotograficzny w małym miasteczku i nieźle jej się powodziło. Ten jej przyszły mąż początkowo zachodził do niej, aby wywołać filmy zrobione w szkole, później żeby pomagać w robocie i zarobić kilka groszy. Bo on nie najlepiej żył. Wychowywała go stara zdziwaczała trochę babka, która sama utrzymywała się z opieki społecznej.

Wie pan, siostrze to ani wpadło do głowy, że on kiedyś będzie jej mężem. Młodzik był, niedożywiony, wiecznie zaniedbany. Była dla niego bardziej matką niż... A poza tym to przecież doskonale zdawała sobie sprawę z tej ogromnej różnicy wieku, jaka ich dzieliła.

Kiedy powrócił z wojska, znów zaczepił się u siostry, choć tak prawdę mówiąc to tam na stałe dla dwojga nie było roboty. Ale co ona miała robić, przecież on musiał z czegoś żyć, jakoś po ludzku ubierać się... A w mieście o pracę było niezmiernie trudno, ot, jak to w takich miasteczkach, gdzie tylko prezydium i spółdzielnia GS-u. Ludzie zaczęli pogadywać, że chce otumanić chłopaka, że to, że tamto, jak to ludzie w takim miasteczku, gdzie każdy zna sny sąsiada. A kiedy się dowiedzieli, że czasami posyłała mu kilka złotych do wojska, to już zupełnie nie dawali spokoju. A przecież ona to robiła nie po to, żeby on tu wrócił. Po prostu wiedziała, że potrzeba mu te kilka groszy na niedzielę, żeby się zabawić, papierosa zapalić, do kina pójść. A ludzi to aż trzęsło. Omamiła go, kupiła i chłopak nie ma teraz wyjścia. Jednego do grobu zapędziła, drugiego jej się zachciało, młodzika — tak gadali, byle tylko dopiec, pognębić.

Ja to jej sama perswadowałam. Niech go odpędzi, niech on nie przychodzi, jakąś robotę niech znajdzie, wyjedzie, miejsca jakiegoś dla siebie poszuka. Bo ona chciała, bardzo chciała, żeby on jednak wyjechał. Ale może chciała tylko tak dla ludzi, żeby wreszcie dali spokój, żeby mogła żyć spokojnie, jak dawniej. A poza tym to przecież zdawała sobie sprawę, że te siedemnaście lat to jedno pokolenie, a dla kobiety życie...

I niech pan sobie wyobrazi, że oni się pobrali. Jak to się stało, ona nie była w stanie wyjaśnić. Nawet sobie. Żyli ze sobą nieźle, mimo tej uporczywej zaciekłości ludzi, którzy nie mogli jej darować tych siedemnastu lat, jakby to była jej wina, że urodziła się wcześniej... Dziecko nawet zaadoptowali. Dziewczynkę. On chuchał na nią, hołubił, ludziom przed nosami bzykał, bo uparty był, nieludzko uparty.

Z czasem to i ludzie przywykli do całej tej historii, jeśli gadali to po cichu i można powiedzieć, że okolicznościowo. Babka tylko, ta stara jędzowata baba, pluła na siostrę i klęła plugawie...

Kilka lat tak ze sobą przetrwali. Raz lepiej, raz gorzej, jak to w małżeństwie. Aż postanowił studiować. No i dlaczegóżby nie miał studiować? Interes szedł nieźle, mieszkanie mieli urządzone, na chleb nie brakowało. Zgodziła się. Byle tylko niedaleko, żeby dojeżdżać można było codziennie. A ja już wtedy czułam, że niech no on tylko skończy tę swoją weterynarię... Bo widzi pan, ja dokładnie zdawałam sobie sprawę, że on mimo tego całego manifestowania przed ludźmi z miasta, wstydzi się mojej siostry. Wstydzi się od momentu zawarcia małżeństwa.

No i zaczęło się. Do domu zaczął nie wracać, na praktyki niby wyjeżdżał, nie pisał, dzieckiem przestał się interesować. I zauważyłam wtedy, że jakby zaczął żyć na nowo, inaczej... A siostrą targał niepokój, że to już koniec. Ileż w niej było rozpaczy, że ją porzuci. To tylko może zrozumieć kobieta. Wie pan, ona raz to nawet usiłowała popełnić samobójstwo, ale odratowali ją, bo ona tak naprawdę to nie chciała umierać, choć chyba żałowała później, że żyje nadal. Bo tak naprawdę, to ona chciała go nastraszyć, że jak on odejdzie, to ona... I nawet pogodziła się, że nie będzie dla niego jedną, byle tylko był z nią. Chciała, żeby wyjechali do jakiegoś dużego miasta, gdzie tego wszystkiego nie będzie tak widać. Ale nie wyjechali. Na domiar złego było to dziecko. Bogu ducha winne, ale ciągle przypominające, ciągle jak wyrzut i już nikomu niepotrzebne...

Dziewczynka jakby głębiej wcisnęła się w kąt. Kobieta nie zwracała już na nią uwagi. Była pochłonięta opowieścią i cała zapadnięta w siebie. W pewnym momencie wydawało mi się nawet, że tę historię opowiada sobie, a nie mnie.

— No i odszedł — powiedziała. — I wie pan, on wziął sobie dziewczynę, która jest zupełnie podobna do mojej siostry. — Zaśmiała się nagle cicho, gardłowo, aż przeleciał po mnie dreszcz. — Ta sama postawa, ten sam wzrost, te same włosy... Tyle, że młodsza od siostry. O całe dwadzieścia lat, które znaczą i nic i życie... Dziecko mają. Też dziewczynkę. Nazwali ją imieniem mojej siostry — urwała.

W milczeniu wsłuchiwaliśmy się w odgłos pędzącego pociągu. Mokry śnieg rozmazywał się na szybie, słupy z wizgiem przelatywały obok wagonów.

— A co z nią, z pani siostrą? — zapytałem.

Kobieta uśmiechnęła się i cicho powiedziała:

— Ona umarła. Umarła, choć przecież nie była taka stara...

Dziewczynka, która do tej pory z nienaturalnym natężeniem wpatrywała się w czarne okno, za którym nic nie było widać odwróciła się nagle i z wyrzutem popatrzyła na mnie. Płakała i łzy spływały jej w kąciki ust, które oblizywała koniuszkiem języka.

PODSPARAGRAFEM

Paluszki

SAME młode chłopaki. Dwadzieścia dwa lata najstarszy. Mieszkają przy jednej ulicy, w nowych blokach. Ten najstarszy tylko żonaty, ma córkę jednoroczną, żona nie pracuje. Reszta kawalerka, przeważnie pracujące.

Był akurat kwiecień, więc wiosna. Słoneczko na niebie. Wrócił Edzio z fabryki, wrzucił coś na ruszta w rodzicielskim domu i przed blokiem stanął. A tam już Andrzejek, Witek i Żonaty. „Chłopaki, trzeba by mnie niedługo do Opola, na brejdaczki ciotecznej wesele — rzekł Edzio. — Może by się jakoś uszkodzić i zwolnienie wziąć z roboty?" Poparł go Witek, który akurat pracował jako starszy noszowy w szpitalu, skąd wyniósł strzykawkę i pięć ampułek zastrzyków znieczulających, i przechowywał to pieczołowicie.

Poszli wszyscy do Witkowego mieszkania, wymontowali sprężynę ze starego zamka od drzwi, przymocowali ją do deski, Edzio otrzymał zastrzyk znieczulający, a następnie cios sprężyną w mały palec lewej ręki, ten najmniej potrzebny paluszek. Ale nie udało się złamać paluszka i Edzio na razie zrezygnował. Udało się natomiast Witkowi, paluszek złamany, pogotowie, przychodnia, zwolnienie na miesiąc cały, państwo zasiłek chorobowy płaci, Witek nie pracuje i w ogóle już do szpitalnej roboty nie wrócił. Więc z Witkiem spokój.

Nie pojechał Edzio na wesele do brejdaczki, ale wiosna już się w lato przechyla i coraz bardziej robić się nie chce. I znów spotkali się przed blokiem wszyscy czterej, poszli do piwnicy Żonatego, który jest stolarzem, i tam Edzio położył ten sam paluszek na trzonku młotka, drugim zaś młotkiem drewnianym otrzymał cios skuteczny, następnie zwolnienie długoterminowe, a w końcu do roboty także w ogóle nie powrócił. Więc i z Edziem spokój.

Kilka dni później w tej samej piwnicy młotkowo-paluszkowa operacja powtórzyła się z Żonatym, który swój miesiąc zwolnienia dostał, po czym jednak do roboty wrócić musiał, bo przecież żona i dziecko. Tyle że i potem miał jakieś dłuższe zwolnienia, która warto by sprawdzić. Tak więc i z Żonatym sprawa po części jasna.

W tej piwnicy był jeszcze piąty amator zabiegu, który sam, bez zastrzyku, strzelał sprężyną we własny paluszek, ale go nie złamał, choć bardzo bolało, tylko mu opatrunek zrobiono w pogotowiu i zwolnienia nie otrzymał.

Natomiast trzem uniezkodliwionym walił w paluszki sprężyną bądź młotkiem najmłodszy spośród nich — Andrzejek. Nie pracujący, 16-letni uczeń I klasy szkoły zasadniczej, na utrzymaniu rodziców-robotników. On nie chciał zwolnienia, on tylko walił po paluszkach swoich kolegów, bo go o to pięknie poprosili i do kompanii dopuścili. A przyglądał się temu 14-letni chłopiec, uczeń szkoły podstawowej, który donosił do piwnicy oranżadę, żeby orzeźwić albo ocucić bohaterów. Twierdzi, że nie widział, co bohaterowie robili, coś tam w piwnicy robili, ale nie wie, co.

Reszta przyznaje się bez trudu, już podczas pierwszego przesłuchania. Żaden nie jest zapisany w rejestrze Ministerstwa Sprawiedliwości, i w ogóle to nie są żadni nawet chuligani. Raczej zwyczajni chłopcy, których rodziny najbliższe ciężko pracują. I nie dzieje się to w dzielnicy mroków i marginesów społecznych, ale w dzielnicy nowych domów. Jest tam nawet klub osiedlowy, który podobno pracuje, choć jest i knajpa osiedlowa, która z pewnością pracuje, bo milicji znana.

Na pytanie, dlaczego to zrobili, Wicio odpowiedział: „Była w tym czasie ładna pogoda i nie bardzo mi się chciało pracować". Ale przecież przedtem pracowali, lepiej lub gorzej, lecz pracowali. I to nie u prywaciarzy, ale w zakładach uspołecznionych, gdzie działają organizacje społeczne, istnieją rady zakładowe. Edzio już przedtem miał skłonność do częstych zwolnień lekarskich. Jakoś nikt w zakładzie nie zainteresował się, dlaczego pracownik tak często na zwolnieniu. I Edzio się zrobił cwaniak na zasadzie: „Boli mnie głowa i zęba połowa!" A potem Edzio zaproponował swoim kolegom podobną postawę. I oni się zrobili cwaniacy na zasadzie: „Boli mnie ręka i cała szczęka!"

Wobec nieletniego Andrzeja będzie prowadzone odrębne postępowanie przed odpowiednim sądem. Witek, Edzio i Żonaty będą oskarżeni z art. 156, § 1 kodeksu karnego (za uszkodzenie ciała) oraz z art. 199, § 1 kodeksu karnego (za zagarnięcie mienia społecznego, tj. zasiłku chorobowego). Za każde z tych przestępstw grozi kara od 6 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności.

POM

Kamena str. 8

WIOSNA

Stanisław Buczyński

* * *

Nieba w zaspane gałęzie
Strząsa błękitny ołów,
Ślimak by czasu nie mitrężyć,
Ruszył galopem na połów.

Wszystko krzyknęło z lewa,
Wszystko krzyknęło z prawa,
Przeszła przez leśne drzewa
Słoneczna, poranna kurzawa.

Wietrzyk jak urwis potrąca
Listki i świerków igliwie,
Wielkie wąsiska zająca
Umoczył w rosianym piwie.

Sosny załkały żywicą,
Brzozy odkryły pierś białą,
Sośnianą, krętą ulicą,
Tysiąc Szopenów zagrało.

Przysiadły w kucki jałowce
Ranek się złotem rozśpiewał,
Ogromnym zielonym pokrowcem
Nakryły się wszystkie drzewa.

I szum się jakiś rozpętał,
Westchnienia jakieś powiały:
W zielonej korze wycięte
Dwa serca się całowały.

Kotorów, pow. Hrubieszów

Hanka Nowobielska

* * *

Biołyk chmurek przeklaśnym zaprzągiem
jedzie holny strzelający bicem,
wiezie wiesne jako dziewce ślicne
bez potocków słonka skośne drogi.

Fasiąg cały ze złota i ze śkla,
płachta z lejsów na tęcy obłokak,
koń za zwonek mo tego skowronka,
co go święta puściła Jagnieska.

Mieły — serce zimami zmęcone
niekze smutkiem juz ocu nie wilzy:
— odmłodzenie mu przecie do wiesna!

Wiesna, ftoro juz coraz jest blizej —
dyć to o niej turliko skowronek,
co go święto puściła Jagnieska.

Białka Tatrzańska, pow. Nowy Targ

Jan Nadolny

* * *

alleluja alleluja
zefiruje wiosna
można śpiewać można bujać
w cieple słonka postać

alleluja alleluja
pole skowronkuje
weseli się klon i tuja
promień słonka królem

alleluja alleluja
deszczyk rosi żyto
niechaj chlebek nam wybuja
niech da mnogość skibkom

alleluja alleluja
chmury promienieją
jakże cieszą się dziś uh ja
bom nadzian nadzieją

Wielbark, pow. Szczytno

Walenty Jarecki

* * *

Spójrz, żono, sad w bieli tonie.
Chodźmy się cieszyć i dziwić.
Już wiosna. Kwitną jabłonie.
I grusze kwitną. I śliwy.

Zostaw to pranie. Niech mięknie.
Później skończymy tę pracę.
Spójrz, teraz w sadzie najpiękniej.
Chodźmy do sadu na spacer.

Pod drzewo wejdźmy na chwilę,
Nim z kwiatów płatki wiatr strzęsie,
Może ci sfrunie motylem
Kwiatek jabłoni na szczęście?

Staw pow. Wieluń

Sabina Derkaczewska

* * *

Ustroiłaś się ma ziemio
jak do ślubu dziewczę
i z powiewnym swym kochankiem
o miłości szepczesz.

W twoim złocie pszennych włosów
bawi się słoneczko
i całuje barwnych maków
czerwone usteczka.

Wojniaki, pow. Chełm

Władysław Sitkowski

* * *

W warkoczach
frasobliwej wierzby
nabrzmiałe
pączki.
Na dywanie
łąki i pól
złote kaczeńce
i płoche zajączki.
Już w zagajniku
kapela stroi,
skowronek
rzewnie przygrywa,
a babcia pisze
pisanki
i każda z nich
jak żywa.
Spotkanie wiosny —
najmilszy
życia zakątek —
uśmiech uśmiechów
i nowego
zaczątek.

Zwierzyniec, pow. Zamość

Władysław Kuchta

* * *

Bajecznie i kolorowo
wiosną w lesie,
zielony parasol nad głową
frywolnie gnie się.

Dołem na ziemi
zawilce, sasanki,
przylaszczki się mienią
w takt ptasiej organki.

Od onej muzyki
drgają aż listki,
las się rozśpiewał
głosem srebrzystym.

W cichym pokłonie
hali wierzchołki,
z traw wznoszą kielichy
zalotne fiołki.

Biesiada w krąg
przy wtórze sosen,
poszepty, rozmowy
miłosnym drżą głosem.

Lesie, mój lesie,
twój szum rozumiem
i twe westchnienia
są w sercu u mnie.

Mołodutyn, pow. Chełm

Melania Burzyńska

* * *

Oj, śpiewaj słowiku w olszynie,
oj, śpiewaj przecudną nam wiosną,
o sercach w tej ludzkiej rodzinie —
czym żyją, kochają i rosną?

Oj, śpiewaj słowiku swe trele,
oj, śpiewaj słowiku kantatę,
jak ludzie w swej życia jesieni
nie mogą uśmiechnąć się w szczęściu.

Oj, śpiewaj słowiku swe arie
w dzień szary, ponury i chmurny,
jak człowiek złamany i stary
swą ziemię położył do trumny...

Jaświły, pow. Mońki

Stefania Kapłan

* * *

Wyciągają puste ręce buki zbudzone,
sypie śrybro rudy obłok polom
uśpionym.

Jesce motyl nie łozwinom swyk ściyzek,
jesce w łęgak drzymią leśne
pociyrze.

Wron krakanie, co sie ścieli po łące,
stronco ciężkie perły rosy sumiące.

Juz ugory serc nabrzmiały tkliwościąm,
krusą kopie nienawiści zazdrości.

Hej, wiosenko, hetta tobie i wiśta,
przełorz niebo, wiatr juz prosi do
twista!

Hej, ludziska, łotwórzcie syrc wierzeje,
niechze je ta jasnoś nieba łogrzeje.

Byście mogli, kie ktoś wiesne łoztrwoni,
choć łut nieba jego łocom uronić.

Sucha Beskidzka, pow. Żywiec

Ignacy Antosz

* * *

Jesteś strumieniem
chwilą poznania,
zbożowym strąkiem,
lotem przestrzennym,
powrotem ptaka,
dniem pojednania.

Czy pójdziesz ze mną
w dal bezpowrotną?

Wiosna z pól
zmywa
samotność.

Kotomierz, pow. Bydgoszcz

Fot. A. Polakowski

Wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

Rok IX | Marzec 1973 r. | Nr 26

Fot. M. Ryczaj

WITAJ!

WIOSNA jako motyw w poezji, tak profesjonalnej jak i ludowej, jest od dawna źródłem niewyczerpanych, ale i świeżych wzruszeń, choć napisano o niej tak dużo wierszy, iż wydawać by się mogło, że nic już nowego nie zdoła się powiedzieć. Pozornie istotnie wygląda na to, że jest to temat wyeksploatowany, w którym co krok spotykamy słowiki, bzy, słońce, skowronki, nie mówiąc już o ogranym rymowaniu typu wiosna — radosna, którego używa się na określenie poezji zbanalizowanej. Wydaje się jednak, że podobnie jak nasze, również i przyszłe pokolenia będą się nadal wzruszać wiosną, zaś poeci wciąż utrwalać jednostkowe przeżycia z nią związane.

Bo wiosna wciąż jest symbolem odradzającego się życia, synonimem nadziei, czasem narodzin miłości, a zawsze okresem wytężonej pracy rolnika. Wiosna, którą poeci przedstawiają najczęściej jako piękną, młodą kobietę, jest dostrzegalna dzięki swoim walorom wizualnym i dźwiękowym, jawi się jako kolorowy przerywnik całego roku, pozwalający na wypoczynek i radość oczom szukającym piękna.

Poznawać ją będą poeci ludowi po zielonych „warkoczach frasobliwej wierzby" (W. Sitkowski), po „taktach ptasiej organki" (W. Kuchta), po „żółtej plamce motyla" (H. Bilka) przelatującego w blasku słonecznym. W poszukiwaniu jej śladów doznania własne utrwalą w wierszach w postaci bukieciików sasanek, rozkwitłych kaczeńców rozsiadających się przy mokradłach, nie wiadomo skąd wyskakujących pierwiosnków.

Wiosna zdopinguje poetów do zajrzenia w kalendarz ludowych mądrości, by np. porównać z rzeczywistością, czy „turliko skowronek, co go święto puściła Jagnieszka?" (H. Nowobielska). Będzie też przenosiła się na świat zwierząt, kiedy to nawet „ślimak, by czasu nie mitrężyć ruszy galopem na połów", a zając — lekkoduch „umoczy wąsy w rosianym piwie" (St. Buczyński). Wreszcie potwierdzi odwieczną miłość, która łączy rolnika z ziemią, a jednocześnie przyniesie zapach ziemi do dalekiego miasta, jak napisał o tym nieżyjący już Jan Pocek:

„aby Twoje serce zmęczone
w pogoni za niczym
napoić
słodkim nektarem pszenic
czerwonym winem koniczyn
i aby Cię pobłogosławić
uroczą mową ziemi
kolącej tarniny
i głogu
byś w kamiennym mieście
uczuł się szczęśliwy..."

KONKURS DLA TWÓRCÓW LUDOWYCH

Wydział Kultury PWRN w Lublinie, Muzeum Okręgowe w Lublinie oraz Stowarzyszenie Twórców Ludowych ogłaszają konkurs otwarty na wyroby sztuki ludowej środkowej Lubelszczyzny (powiaty: bełżycki, bychawski, chełmski, lubelski, lubartowski, opolski, parczewski, puławski i włodawski), obejmujący ceramikę, tkactwo, kowalstwo artystyczne, wycinankarstwo, pisankarstwo, malarstwo, rzeźbę i plastykę obrzędową. Zestawy prac w ilości 5—10 sztuk należy nadsyłać do 1 lipca 1973 do Muzeum Okręgowego, Lublin, Zamek, Dział Etnografii — na ryzyko wysyłającego.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 1 września 1973 r. Pod uwagę będą brane w ocenie: poziom artystyczny, związek prac z twórczością ludową określonego regionu oraz oryginalność pomysłu. Na nagrody przeznacza się 30 tys. zł do rozdziału przez jury. Nadesłane prace wezmą udział w wystawie pokonkursowej, a organizatorzy zastrzegają sobie prawo zakupu prac po cenie ustalonej przez komisję. Nie zakupione prace zostaną zwrócone do 1 marca 1974 roku.

Do nadesłanego zestawu prac, podpisanych i wycenionych, należy dołączyć w kopercie następujące dane: imię i nazwisko twórcy, wiek, wykształcenie, środowisko z którego pochodzi, zawód, adres oraz spis prac z cenami.

W obronie pisarstwa ludowego

Głos w dyskusji

ZAMIESZCZONY na łamach „Ziemi i Pieśni" z grudnia ub. r. artykuł Stanisława Weremczuka pt. „Furtka do nieśmiertelności?" porusza wiele istotnych problemów, na temat których i ja chciałbym zabrać głos. Chodzi tu przede wszystkim o pisarstwo ludowe. Pamiętamy, że na zjazd wojewódzki poetów ludowych w 1961 roku w Nałęczowie przybyło 13 osób, zaś w roku 1963 na ogólnopolski zjazd poetów do Warszawy przyjechało ze wszystkich regionów... „aż" 17 osób. Propozycja powołania związku poetów stanęła wówczas pod znakiem zapytania, bo czy warto podejmować wysiłki dla tak skromnej liczby osób?

Ukazanie się pierwszej antologii poezji ludowej pt. „Wieś Tworząca" w roku 1962 przekonało jednak ostatecznie tych, co nie wierzyli w słuszność naszej sprawy. Nic więc dziwnego, że dzięki poparciu władz wojewódzkich w Lublinie, szczególnie Wydziału Kultury PWRN i zaangażowaniu się poszczególnych osób, takich jak dr Aliną Aleksandrowicz, mgr Zbigniew Frąc, dr Roman Rosiak i in., odbył się w roku 1965 ogólnopolski zjazd poetów ludowych w Lublinie, na którym powołano Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych z siedzibą w stolicy naszego województwa. Było to wydarzenie na skalę krajową, któremu nie szczędzono wówczas zainteresowania i opieki.

Zaczęto wydawanie antologii, tomików indywidualnych i wielu publikacji w prasie. Trzeba odnotować fakt, że właśnie „Kamena" była pierwszym mecenasem ludowych poetów i ona też w grudniu ubiegłego roku wydała 25 numer autonomicznej wkładki „Ziemia i Pieśń", za co redakcji składam w imieniu kolegów i swoim szczere podziękowanie.

Obok „Kameny" wiele innych pism także prezentowało naszą twórczość. Należy tu przede wszystkim wymienić „Chłopską Drogę", „Zielony Sztandar", „Zarzewie". To nas utwierdziło w przekonaniu, że nasze pisarstwo jest komuś potrzebne, że służy szerokim masom społecznym. A my byliśmy jedną wielką rodziną, nawzajem się rozumiejącą.

Fundusze, przydzielane w tym czasie przez Wydział Kultury PWRN w Lublinie, były wykorzystane wyłącznie na rozwój pisarstwa ludowego. I, o dziwo, wtedy nas doceniono. A jak wygląda sprawa dziś, kiedy działa sprawnie machina pod nazwą Stowarzyszenia Twórców Ludowych? Jest biuro, jest personel urzędujący.

Dla twórców-plastyków powołano Fundusz Rozwoju Twórczości Ludowej. Są więc zapomogi, stypendia, konkursy i wysokie nagrody (nawet po 7000 zł pierwsza) i zakup eksponatów. Taki twórca wie, że ma korzyści z przynależności do STL czy „Cepelii". A dodajmy do tego jeszcze wiele kiermaszy, na których twórcy-plastycy sprzedają za poważne kwoty swoje wyroby, przypomnijmy też, że zapewnia się im środki transportu i zwrot kosztów podróży. Ale na tychże samych kiermaszach występują poeci i robią to gratis.

Każdy twórca-plastyk, zabiegający o prezentację czy sprzedaż swoich wyrobów, jest traktowany bezkrytycznie. Ale niech jakiś poeta spróbuje zabiegać o wydanie tomiku, to zaraz zbierze się fala krytyki. A przecież my też chcemy tworzyć na zewnątrz i dla kogoś. Mówi się, że poezja jest deficytowa i niechodliwa. A „Antologia współczesnej poezji ludowej", wydana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, jest już wznowiona i mimo wysokiej ceny (120 zł) nie leży na półkach. Podobnie antologia „Pogłosy ziemi", wydana przez Instytut Wydawniczy Pax (I wydanie 3000 egz. i wznowienie 10000 egz.), jest po prostu rozchwytywana. Tymczasem piąty tom „Wsi Tworzącej" czeka na wydanie już trzeci rok.

Poza tym warto zwrócić jeszcze uwagę na istniejący podział wśród poetów na tzw. zwykłych i uprzywilejowanych. Wystarczy przejrzeć czasopisma zajmujące się literaturą ludową, aby napotkać te same powtarzające się nazwiska. A przecież wszyscy są na jednych prawach, które gwarantuje zresztą statut STL. Coś tu z pewnością nie gra. Zapomina się, że całemu ruchowi bieg nadali poeci i że ci poeci to nie tylko ludzie zajmujący się literaturą. To przodujący działacze w swoich środowiskach, to prezesi kółek rolniczych, przewodniczący społecznych rad klubowych, kolporterzy prasy, kierownicy zespołów amatorskich, społeczni opiekunowie zabytków i kto wie co tam jeszcze.

Słowem — to najbardziej ruchliwi ludzie i inspiratorzy działalności kulturalnej. Tych ludzi nie można traktować w Stowarzyszeniu jako drugorzędnych. To członkowie pełnowartościowi, którzy swoją twórczością służą i środowisku i całemu społeczeństwu, chociażby dostarczając repertuaru dla zespołów amatorskich (może tu posłużyć jako dowód poezja Józefa Małka). Udało nam się wprawdzie wprowadzić nasze utwory na stałe do ogólnopolskiej audycji radiowej, „Kiermaszu pod Kogutkiem", ale tam znów nie ma podstawy (?) do wypłacenia honorariów za produkowane wiersze. Musi się przecież znaleźć jakieś wyjście z tej nienormalnej sytuacji!

Bronisław Pietrak

W hołdzie Wielkiemu Astronomowi

W JEDNYM z lutowych numerów „Kamena" przyniosła bardzo ciekawy artykuł pióra zmarłego 4 lata temu znanego krytyka Jerzego Eugeniusza Płomieńskiego pt. „Kopernik we współczesnej literaturze polskiej". W związku z obchodzoną aktualnie pięćsetną rocznicą urodzin uczonego wydaje się celowe, przynajmniej w skrócie, również zasygnalizowanie wkładu twórców ludowych w dzieło utrwalenia postaci Kopernika na kartach literatury. Aczkolwiek jedną z podstawowych cech literatury ludowej jest jej okolicznościowy charakter, to przecież wiersze o Koperniku można spotkać w dorobku wielu autorów w różnych okresach czasu.

I tak np. jednym z pierwszych wierszy, wydrukowanym w roku 1954, opolskiego murarza z zawodu, Mikołaja Czecha, był utwór pt. „Kopernik". Opublikowało go „Słowo na Śląsku", a warto przy tym podkreślić, że jego autor, przez dziesiątki lat zmuszony do codziennego obcowania z językiem niemieckim, dopiero w wieku 71 lat wypowiedział się na łamach prasy wierszem napisanym w mowie ojczystej.

Inny poeta, zasłużony bojownik o polskość Warmii i Mazur, Teofil Ruczyński, w roku 1953 jednemu ze swych wierszy dał tytuł „Mikołajowi Kopernikowi". W przeciwieństwie do M. Czecha nie poprzestał na złożeniu astronomowi hołdu, dając poetycką wizję uczonego i ukazując jego długą drogę do sukcesu.

Z myślą o rocznicy powstał natomiast utwór innego poety olsztyńskiego, Jana Kowalskiego, pt. „Ku gwiazdom", w którym autor przedstawia znaczenie epokowego odkrycia naszego wielkiego rodaka dla ludzkości wówczas i w dniu dzisiejszym. Podobne intencje przyświecały także Franciszce Sinkowskiej z Malborka, która dopiero dzięki Polsce Ludowej w wieku 63 lat na kursach dla analfabetów nauczyła się czytać i pisać. Jeden z pierwszych wierszy, podobnie jak Mikołaj Czech, dedykowała ona także Kopernikowi.

Osobne miejsce należy się Józefowi Skurze z Sandomierza, w którego dorobku znalazło się kilkanaście wierszy o interesującej nas tematyce, m.in.: „Rok Kopernikowski", „Wieczór we Fromborku", „Na ziemi Kopernika", „Warmia", „Drzemała Ziemia", „Zwycięski pochód", „Wielkość", „Pomnik Kopernika", „W Toruniu", „Znaczek pocztowy", „Portret z konwalią" i in. Celowo przytoczyliśmy tytuły tych wierszy, bo już tylko w oparciu o nie łatwo zauważyć, jak bogata jest problematyka utworów poświęconych astronomowi. Poeci ludowi interesują się nie tylko jego odkryciem, inspiruje ich pomnik uczonego, jego portret, znaczek z podobizną, miasto, w którym przebywał. Nie jest to posąg ze spiżu, ale żywy człowiek, bliski nam dzisiaj tak, jak by nie dzieliły go od współczesności wieki. Wielki Polak porywa chłopskich poetów swą żądzą wiedzy, uporem, odwagą, bohaterstwem, patriotyzmem, śmiałością poglądów, dzięki czemu staje się on wzorem do naśladowania dla nas i pozostałych pokoleń.

Zresztą coraz więcej poetów ludowych pragnie tak, jak Zygmunt Kupisz czy Władysław Sitkowski, dołączyć do grona tych, którzy swoimi utworami składają hołd Kopernikowi.

Z konieczności ograniczyliśmy się do poezji; ale przecież wielkiemu odkrywcy prawd kosmicznych twórcy dedykują także opowiadania (np. Józef Skura — „W Toruniu"), legendy (np. Teofil Ruczyński — „Kopernik w Lubawie"), a nawet poematy (Józef Skura — „Gwiazda Kopernika") i dramaty (Józef Skura — „W Lidzbarku"). Jest to wymowny dowód zaangażowania współczesnej literatury ludowej w problemy całego narodu, obchodzącego z zasłużoną dumą święto polskiej nauki i pięćsetną rocznicę urodzin najwybitniejszego jej przedstawiciela.

(r)

Mikołaj Kopernik. Płaskorzeźba Jana Kowalskiego z Iławy
Fot. A. Gauda

Teofil Ruczyński

Mikołajowi Kopernikowi

W Toruniu, co grodem wyrósł nad Wisłą,
Gdzie wieże świątyń się wznoszą strzeliste,
Tam rodu twego sławne nazwisko
Wpisane na zawsze w księgi wieczyste.
Tam pierwsze twoje pragnienie gorące,
By badać niebo, gwiazdy i słońce.

W Krakowie, Fromborku, Lidzbarku, Olsztynie,
Pod włoskim niebem, w Bolonii i Padwie,
W niejednej nocnej gwiaździstej godzinie
Wielkiej, odkrywczej trudziłeś się sprawie.
Dowiodłeś ludzkości wnikliwą pracą,
Że słońce stoi, a glob się obraca.

Zburzyłeś pojęcia błędne, fałszywe,
Rozwarłeś bramy na morze i lądy,
Wskazałeś ziemi kształty prawdziwe,
Którym przeczyły ciemnota, przesądy.
Na kartę wiedzy rzuciłeś nowe
Prawdy zbadane i postępowe.

Tytanie myśli, nasz wielki odkrywco,
Wpisany w wszystkich narodów księgi,
Wielkości i sławy szlachetny zdobywco,
Szermierzu wiedzy — największej potęgi,
Z warmińskiej ziemi, z pracy twej szlaku,
Cześć ci składamy nasz wielki rodaku.

Lubawa, pow. Nowe Miasto Lub.

Wycinanki

Wyk. Stanisława Bakuła, Strzałki, pow. Ostrołęka
Fot. A. Gauda

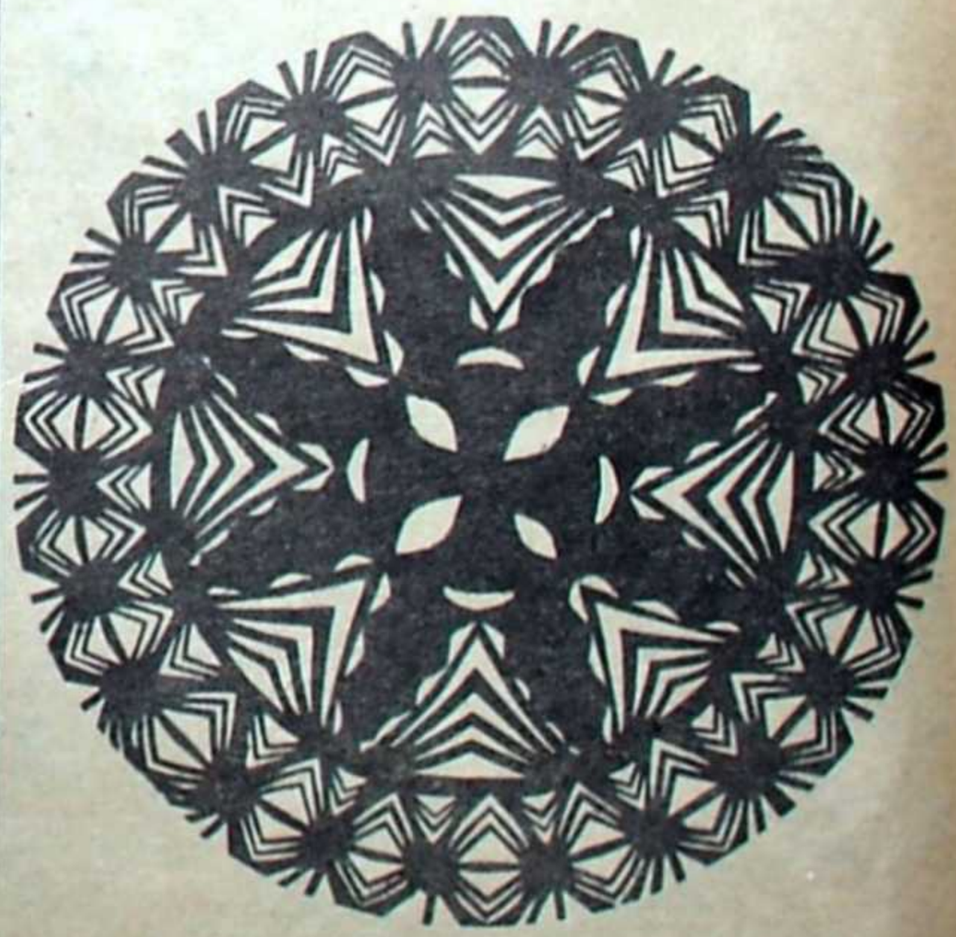

Wyk. Stefania Samsel, Myszyniec Stary, pow. Ostrołęka
Fot. A. Gauda

Autonomiczny dodatek
„Ziemia i pieśń"
pod redakcją dr. Romana Rosiaka

Geneza PPR

POLSKI ruch robotniczy przeszedł w swej historii przez szereg trudnych etapów, walk klasowych, krwawych zmagań ze wstecznictwem i reakcją, zaborcą i okupantem. Stanowi podstawową część dziejów klasy robotniczej i najnowszej historii narodu. Stał się trwałym elementem współczesności i perspektywy rozwojowej. Znajomość doświadczeń i problemów rewolucyjnego nurtu w polskim ruchu robotniczym, szczególnie w czasach najnowszych, w dużej mierze pomaga rozwiązywać i oceniać zjawiska współczesności.

Historiografia powojenna w Polsce może poszczycić się szeregiem opracowań, wyborów dokumentów i wydanych wspomnień, które zawierają szeroki zakres materiału o polskim ruchu komunistycznym. W stosunku do niektórych okresów rozwoju i działalności lewicy rewolucyjnej napotykamy jednak na poważne luki i tereny mało przebadane. Brak większego zainteresowania nimi wśród historyków powodowany był, jak się wydaje, trudnościami w ocenie niektórych etapów działalności komunistów, brakiem perspektywy historycznej i dużym rozproszeniem bądź wielokrotnie prawie całkowitym brakiem bazy źródłowej.

Z tym większą satysfakcją należy odnotować pojawienie się na rynku księgarskim w końcu ubiegłego roku poważnej pracy dotyczącej genezy Polskiej Partii Robotniczej *. Autor, Marian Malinowski, pracownik naukowy Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, dał się poznać przez swoje publikacje i wykłady (m. in. w Lublinie) jako rzetelny historyk i jeden z najlepszych znawców historii PPR w okresie okupacji. W wyniku wieloletniej żmudnej pracy badawczej w kraju i za granicą oraz dzięki zgromadzeniu setek wspomnień i relacji dał możliwie pełny przegląd i analizę trudnych dziejów polskich komunistów w latach 1938—1942, znajdując w tym okresie genezę PPR. Dotychczas początków PPR doszukiwano się w różnych latach, ale prawie wyłącznie już w okresie okupacji (1939—1941). „Problematyka genezy PPR — pisze autor — obejmuje okres od rozwiązania KPP do utworzenia nowej partii, ukazując wiele skomplikowanych zjawisk w dziejach polskiego ruchu komunistycznego. Pozbawiony formalnych więzi wewnętrznych oraz łączności z kierownictwem Międzynarodówki Komunistycznej, w okresie skomplikowanej sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej ruch ten próbował o własnych siłach odtworzyć organizację, reaktywować partię i opracować nowy program wyzwoleńczy. Prezentacja i omówienie tych procesów [...] stanowią klucz do zrozumienia szeregu istotnych wydarzeń, jakie w ruchu komunistycznym występowały także w okresie późniejszym".

Przytoczone materiały myśl tę uzasadniają. Szczególnie ciekawie przedstawione zostały podejmowane próby odbudowy patrii przez Paryską Grupę Inicjatywną kierowaną przez Bolesława Mołojca ps. „Edward", dokonana przez nią wstępna ale bliska prawdy ocena dorobku KPP i większości działaczy komunistycznych, pełna patriotyzmu i ofiarności a zarazem tragizmu postawa polskich komunistów w przededniu wojny, w kampanii wrześniowej i w obronie Warszawy. Wyrosły do symbolu przykład Mariana Buczka poległego w walce z hitlerowcami pod Ożarowem został pomnożony przez wydobycie w pracy walki w kampanii wrześniowej setek komunistów — więźniów Rawicza, Sieradza, warszawskiego „Centralniaka", Fordonu, „Pawiaka" oraz warszawskich robotników-komunistów.

Szeroko została omówiona sytuacja komunistów po klęsce wrześniowej oraz początki lewicowej antyfaszystowskiej konspiracji. W tym zakresie znajdujemy sporo wiadomości, opartych na dorobku historyków i działaczy lubelskich oraz autora, dotyczących Lubelszczyzny. M. in. wymienia się powstałą z inicjatywy komunistów w 1939 r. w pow. chełmskim „Czerwoną Milicję", kilka konspiracyjnych grup byłych członków KPP w pow. krasnostawskim, chełmskim, zamojskim i hrubieszowskim. Na przełomie 1939/1940 r. członkowie KPP zorganizowali pierwsze grupy w pow. puławskim. W tym też czasie powstały grupy konspiracyjne w pow. Lubartów, Włodawa, Biała Podlaska i w Lublinie. Autor sygnalizuje też pierwsze kontakty Aleksandra Szymańskiego z Kraśnika, późniejszego czołowego działacza PPR, z konspiracją komunistyczną w Warszawie (Rewolucyjne Rady Robotniczo-Chłopskie) już na początku 1941 r.

Poważnie zostały pogłębione wiadomości dotyczące powstania licznej na Lubelszczyźnie Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej, której początki wg autora sięgają przełomu 1940/41 r. kiedy radomscy działacze byłego Stronnictwa Chłopskiego poprzez Franciszka Wójcikowskiego nawiązali kontakt z lewicowymi działaczami na Lubelszczyźnie. W wyniku działalności F. Wójcikowskiego i działaczy z Lubelszczyzny (F. Lip, F. Wcisło, A. Szymański i T. Wójtowicz) powstała organizacja skupiająca komunistów i radykalnych chłopów. Miała kontakty w Chełmie, Włodawie, Rejowcu, Lubartowie, Parczewie, Zamościu i Kraśniku. Latem 1941 nawiązano kontakt z warszawską grupą komunistów skupioną wokół Ludwika Krasińskiego („Grupa Romana"), a w październiku 1941 r. na konferencji organizacji radomskiej, warszawskiej i lubelskiej utworzono wspólną organizację, która po szeregu propozycji przyjęła nazwę Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa (inne proponowane nazwy: Komunistyczna Partia Polski, Robotniczo-Chłopska Partia Polski, Robotniczo-Chłopska Organizacja Rewolucyjna). Autor omawia też powstałą w 1941 r. w pow. chełmskim „Czerwoną Partyzantkę" ukazując szereg jej aktywistów.

Wiele nowych wiadomości znajdujemy w części poświęconej bezpośrednim przygotowaniom do zorganizowania partii na Lubelszczyźnie. Do aktywu polskich komunistów w ZSRR ze szkoły partyjnej KW MK, którzy odegrali podstawową rolę w utworzeniu Grupy Inicjatywnej, wchodził Jakub Aleksandrowicz — działacz chłopski KPP z Podlasia, przez szereg lat przebywający na emigracji w Argentynie, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii. W pierwszym podziale zadań Grupy Inicjatywnej J. Aleksandrowicz przewidziany był do tworzenia na Lubelszczyźnie organizacji bojowej. Tworzeniem partii na tym terenie miał zająć się Czesław Skoniecki. W okresie późniejszym podział funkcji prawdopodobnie uległ zmianom, gdyż w składzie podgrupy brzeskiej (tu planowano prawdopodobnie jej zrzut) znalazł się tylko J. Aleksandrowicz, natomiast Cz. Skonecki został przydzielony do podgrupy warszawskiej. W tydzień po przybyciu do kraju M. Nowotki i innych nocą na 6 stycznia 1942 r. J. Aleksandrowicz wylądował na spadochronie w pow. Biała Podlaska, gdzie rozpoczął nawiązywanie pierwszych kontaktów ze środowiskami miejscowych komunistów. Na podstawie kontaktów lubelskiej RChOB z ZWW, autor twierdzi, że w końcu stycznia lub na początku lutego 1942 r. kierownictwo PPR nawiązało kontakt z Robotniczo-Chłopską Organizacją Bojową. Dość wnikliwie zostało ukazane powstawanie pierwszych komórek PPR i grup GL na Lubelszczyźnie do połowy 1942 r., kiedy zakończony został wstępny etap budowy PPR na tym terenie.

Pracę zamykają krótkie ale cenne rozważania na temat politycznych problemów kierownictwa PPR w początkowym okresie. W zakończeniu autor pisze: „Lata 1939—1942 zrodziły warunki sprzyjające przełomowi w dziejach ruchu komunistycznego. Istotą tego przełomu było stopniowe zerwanie z awangardyzmem i sekciarstwem na rzecz bardziej realistycznych ocen układu sił i perspektyw rewolucji, tak w skali międzynarodowej, jak i w poszczególnych krajach. Sens jego polegał na coraz konkretniejszym stosowaniu przez ruch komunistyczny leninizmu. Nie przebiegał on gładko. Dojrzewał i rodził się wśród bolesnych doświadczeń. Przedstawione w niniejszej książce dzieje ruchu komunistycznego w Polsce stanowią tego wymowne potwierdzenie".

Lokalny patriotyzm skłonił do zaprezentowania niektórych fragmentów z dziejów ruchu komunistycznego na Lubelszczyźnie, bez wskazania na elementy podstawowe pracy, które znajdują się w analizie materiału faktograficznego i zawartych tezach. Pełne poznanie problematyki poleca się uwadze czytelnika.

Edward Olszewski

* Marian Malinowski: Geneza PPR. Książka i Wiedza. Warszawa 1972, st. 542, cena 60 zł.

Szyfrogram literacki nr 6

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść poszczególne litery do diagramu na miejsce odpowiadających im liczb. W diagramie czarna kratka oznacza koniec słowa, a dwie — koniec wiersza. Dla ułatwienia między liczby 63 i 64 oraz 66 i 67 wstawiono myślniki, które oddzielają słowo wtrącone. Rozwiązaniem będzie fraszka znanego satyryka z XIX wieku — Rodocia.

Wyrazy pomocnicze:

Wypalony lub wyciśnięty znak — 53, 34, 12, 104, 67, 64
Poetycki „chłopiec" — 29, 97, 94, 65, 84, 41, 25
Warzywnik — 30, 10, 101, 11, 55
Ukaranie przestępcy przez ludność z naruszeniem prawa — 4, 20, 98, 90, 69, 10, 16
Ozdoba męskiej twarzy — 88, 9, 58, 73
Małż słodkowodny z piosenki Ireny Kwiatkowskiej — 33, 95, 71, 62, 44, 22, 84, 82, 97
Dookoła nas — 7, 46, 57, 43, 79, 78, 96, 75, 79
Świeża wiadomość — 59, 103, 27, 82, 102, 37
Teren nisko położony — 89, 99, 72, 78, 36, 105
Miasto powiatowe z gotyckim zamkiem krzyżackim — 31, 39, 3, 91, 59, 61, 52
Punkt dojazdowy do Zalewu Zegrzyńskiego — 45, 47, 100, 1, 60, 82, 13, 41
Część kultury fizycznej — 77, 14, 66, 6, 51
Redakcyjne narzędzie — 49, 2, 85, 63, 74, 28
Kwiat wczesnej wiosny — 19, 32, 12, 24, 23, 81
Pracownik wymiaru sprawiedliwości — 21, 93, 86, 17, 25, 42
Miał ośle uszy i zamieniał wszystko w złoto — 8, 18, 80, 68, 28
Zbitka do blach — 38, 30, 5.

1	2	3	■	4	5	6	7	8	9	■	10	11
12	13	■	14	15	16	17	18	■	19	20	21	■
22	23	24	25	26	■	■	27	28	29	30	31	32
■	33	34	35	■	36	37	■	38	39	40	■	41
42	43	44	45	46	■	47	■	48	49	50	51	52
■	■	53	54	55	56	57	58	59	■	60	61	62
63	—	64	65	66	—	67	68	■	69	70	71	72
73	74	75	76	■	■	77	78	79	80	81	82	■
83	84	85	x	86	87	88	89	90	■	91	92	93
94	95	96	97	■	98	99	100	101	102	103	104	105

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 20-950 Lublin).

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

Rozwiązanie szyfrogramu nr 4

Reżyserzy: Ford, Lean, Munk, Wise, Carne, Clair, Losey, Malle, Ermler, Godard, Sautet, Shindo, Welles, Wilder, Bresson, Chabrol, Chaplin, Fellini, Minelli, Resnais, Kurosawa, Antonioni, Hitchcock.

Literaci: Bernanos, Sheridan, Sillitoe, Sinclair, Balmoni, Chaucer, Foscolo, Nikitin, Conrad, Fredro, Huchet, Lowell, Miller, Silone, Arnim, Crane, Dygat, Lukan, Merle, Pasek, Weiss, Wilde, Shaw.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 4 nagrody wylosowali: Stefan Komorowicz, Skarżysko Kam., L. Staffa 22/2, Krystyna Kwiatkowska, Lublin, ul. Konrada Wallenroda 7 m. 8., Franciszek Wodecki, Lublin, ul. Łęczyńska 59, Wacław Mazurek, Oleśniki, p-ta Fajtłowice, pow. Krasnystaw.

Listy do KAMENY

„Egzorcyzm bezskuteczny"

Na początek — podziękowanie „Kamenie", której nie zaprzestałem czytać mimo pojawienia się „Kontrastów", powstałych, moim zadniem, o wiele za późno, a nie za wcześnie. Podziękowanie — za dużo ciekawej lektury w każdym numerze, ale i nieco uwag przekornych pod adresem „przekór" szanownego Ijona, wyrażonych w felietonie „Egzorcyzm bezskuteczny" („Kamena" nr 3).

Sąd Orłosia odnośnie „Kontrastów" — przedstawiony w „Literaturze" — przypadł Ijonowi do gustu, natomiast uwagi o reprezentacyjnym piórze Białegostoku — nie. Dlaczego? Tu Ijon stosuje bardzo proste porównanie z dziedziny sportu i konstatuje, że lepsze ono od wielu, więc dlaczego to w innych nie kieruje się ostrza krytyki, a tylko w Omilianowicza...

Mój sąd dotyczyć będzie pewnego aspektu twórczości A. Omilianowicza. Tego, czy wydobył, czy pogrążył wiele spraw w „mrokach niejasności". Gdybym nie pisał na marginesie cudzego felietonu, pokusiłbym się o samodzielny artykuł, nadając mu tytuł „Prawo do fikcji literackiej, czy obowiązek rzetelności historycznej."

Poza kilkoma książkami, czy epizodami w innych publikacjach, gdzie są przytaczane autentyczne dokumenty, czytelnik nie wie bowiem, czy Omilianowicz korzysta z pierwszego — przywileju, czy poczuwa się do drugiego — obowiązku krępującego pisarza, a jakt ten nie stanowi mocnej strony książek tego autora.

Mój sąd nie byłby tak surowy, gdyby A. Omilianowicz w niektórych swych książkach, dla stworzenia pozorów autentyczności, nie posługiwał się autentycznymi nazwiskami i nazwami, co dezorientuje szczególnie młodzież i czytelników nie znających prawdy, biorących za dobrą monetę najbardziej wydumane fantazje. W sposób podrabiania klucza do kasy, opisany w „Duchu Białowieży", nikt nie chce jednak uwierzyć. Gorzej, bo po próbach naśladowania metody Omilianowicza pozostają do wymiany zakłajstrowane plasteliną zamki Yale, oczywiście po wyrąbaniu odpowiedniej części drewna... Boję się, żeby „Duch Białowieży" nie stał się podstawą serialu telewizyjnego.

Juliusz Ojrzanowski
Hajnówka

„O uczelniach dyskusyjnie"

Do dwóch publikacji („Kamena" nr 4), opatrzonych wspólnym nadtytułem „O uczelniach dyskusyjnie", pragnę dorzucić kilka uwag dotyczących pokrewnej problematyki. Chodzi mi mianowicie o kwestię kryteriów, które służą zatrzymaniu co zdolniejszych studentów na uczelni — jako przyszłych pracowników nauki.

Przypominam sobie taką historię: studentka zdaje raz, drugi, trzeci, zdaje siódmy raz egzamin z przedmiotu kierunkowego... Bezskutecznie. Przenosi się więc na inną uczelnię, na ten sam wydział — i na koniec zostaje asystentką pani docent. Dlatego, że studentka, zdaniem odpowiedzialnego pracownika nauki, jest „pilna i kulturalna, a przeciętne wyniki studiów na pewno poprawi w trakcie pracy naukowej." I rzeczywiście: dawna „rekordzistka" egzaminacyjna otrzymuje po kilku latach doktorat, który nie wnosi przecież nic godnego uwagi do nauki, świadczy tylko o opanowaniu przez autorkę jakiegoś prostego schematu metodologicznego.

Nie jest to przypadek odosobniony, nominacje asystenckie od dawna budzą poważne wątpliwości, bo preferują nierzadko przeciętność. W ostatnich czasach sporo zmieniło się w tej kwestii na lepsze, co nie znaczy, że osiągnęliśmy stan zwalniający z potrzeby krytycznej uwagi.

Adam Górski
Lublin

„Kobieta z brodą"

W 4 numerze „Kameny" M. Podgórski publikuje „Kobietę z brodą", zręcznie opisując jeden z barwniejszych przypadków polskiego obyczaju gastronomiczno-rozrywkowego. Dużo rzeczy w życiu widziałem, zajmując się niegdyś działalnością impresaryjną, lecz, przysięgam, kobiety z taką brodą nie spotkałem!

Czytając ten artykuł, zastanawiałem się przecież: co zmieni publiczne ujawnienie fragmentu tego bardzo rozgałęzionego podziemia cwaniactwa; czy interwencje prasowe zdolne są do likwidacji zjawiska przeróżnych panów Wiktorów, Kaziów i Jacków, zymbolizujących niemalże instytucje? Od lat obowiązują w naszym życiu estradowym tzw. odsypy, o których zresztą M. Podgórski wspomina. Biorą je i dają niemal wszyscy: od drobnego krętacza, który zadowoli się 200-złotową „prowizją", do ważnych menagerów, biorących 15 procent — na tzw. „normalnej zasadzie" — a i 25 proc. od wpływów za urządzenie imprezy, od honorarów za piosenki, przyjęte łaskawie do wykonania. No cóż, piszcie jednak, przynajmniej dla spokoju własnego sumienia.

Jerzy Pac
Lublin

Nie pomogą dotacje

Jeży mi się włos, gdy czytam w 4 numerze „Kameny" bladolenia na temat reanimacji „Czarta", każdy bowiem ma takiego „Czarta", na jakiego zasługuje i nic tu nie pomogą zebrania, choćby na najwyższym szczeblu. Nie pomogą dotacje, choćby milionowe, ani gmach wybudowany dla potrzeb kabaretu, ze sceną obrotową. Program trzeba robić! A jak będzie dobry, to go ludzie kupią. Wiecie teraz, dlaczego od lat nie ma „Czarta"? Bo gadać jest łatwo, tylko robić nie ma komu! Lubimy pracować, ale pod warunkiem, że główka, rączki i nóżki spokój będą miały. I jeszcze, co najważniejsze: nie o pieniądze założycielom „Czarta" (gronu młodych dziennikarzy i studentów) chodziło, gdy kabaret powstawał, i dzięki ich entuzjazmowi i zaangażowaniu mogłem reaktywować jego działalność na tych kilka lat i kilka programów. Wówczas była to udana reanimacja, dziś byłoby to „galwanizowanie trupa" w parę lat po „śmierci klinicznej".

Awitalny staruszek już przy mnie zamierał na uwiąd starczy; ze względów ambicjonalnych, przed wyjazdem z Lublina, kopnąłem go po raz ostatni w siedzenie. Staruszek podskoczył i zgasł mi na rękach. Choćbym nie wiem jak chciał, nie mógłbym go dalej za rączkę prowadzić nawet najostrożniej.

Nie piszę tego po to, aby przypomnieć, lub podkreślić jakiekolwiek osobiste zasługi w tym względzie, ale po to, żeby wyjaśnić okoliczności śmierci „denata". Jeśli mogę coś radzić: należy szukać... nowych inicjatyw, rozwijać je, a nie ubolewać nad bolesną stratą. Stać was (tzn. Lublin) na coś nowego, ciekawego, lepszego, niż zacny nieboszczyk. A jeśli weźmie się ktoś do roboty, pomóżcie mu, otoczcie życzliwością (to chyba najtrudniejsze), a niewątpliwie w której „Kamenie" z radością przeczytam recenzję z nowego, świetnego kabaretu!

Tytus Wilski
Kraków

Było trochę inaczej

Otrzymaliśmy poniższy list, podpisany „Tłumaczka tekstu rosyjskiego B.", opatrzony pieczęcią i podpisem prezesa Zarządu Studenckiej Spółdzielni Pracy „Iuventus" oraz jego uwagą „stwierdzam zgodność powyższych danych":

W związku z artykułem „Mierz siły na pieniądze", wydrukowanym w nr (4/316) „Kameny" z dnia 23 lutego 1973 r. proszę uprzejmie o sprostowanie wysokości moich zarobków w Spółdzielni Studenckiej „Iuventus", które są podane jako netto ponad sto tysięcy złotych w ciągu roku 1972, a w rzeczywistości wynoszą brutto 92 924 zł, a netto 78 194 zł".

Informację o stu tysiącach zł podał nam ten sam prezes — i nie tylko nam, bo znalazła się ona także w innych dokumentach.

*

Korektorskie niedopatrzenie spowodowało, że w artykule „Portret awiatora" („Kamena" nr 3) „Loża Wolnomularska" przeistoczyła się w „Lożę Wolnomularską", co w sposób istotny wypaczyło sens całego zdania.

red.

Roman Gorzelski

FRASZKI

O CUDACH
Są na naszym globie kraje,
W których żywy zmartwychwstaje.

NIESKOŃCZONOŚĆ
I w akwarium małej rybie
Świat nie kończy się przy szybie.

PODSŁUCHANE
Za wszystko biedny człowiek płaci:
Tak użalali się bogaci.

CEL ŻYCIA
Ziemio — prosi kamień —
W człowieka mnie zamień.

DO PIEKŁA
Do piekła by pojechał w gości,
Aby douczyć się podłości...

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄŻKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamał MIECZYSŁAW PSUJEK.

Adres redakcji:
20-018 Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-83, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 622. 7.III.73. 19.750. G-4

falsetem

Dużo nas...

BRIGITTE BARDOT powiedziała w wywiadzie dla francuskiego tygodnika „L'Express": „Nie chcę mieć dziecka w obecnych czasach. Też! Ludzie, którzy decydują się na dzieci — to wariaci. Jest za dużo ludzi na ziemi. To okropne".

Pewien mój znajomy rzemieślnik twierdzi tak samo. Różni się on jednak od Bardotki tym, że ma nie jedno dziecko, ale pięcioro i w dodatku nie mógł ich nikomu podrzucić na wychowanie...

Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych ogłosiło rok 1974 światowym rokiem demograficznym. Inicjatywa ONZ ma na celu zwrócenie uwagi na powagę problemów, związanych z szybkim przyrostem naturalnym na świecie i zachęcenie odpowiednich czynników do poszukiwania metod mających na celu stawienie czoła eksplozji demograficznej.

Hm... Na początku naszej ery Ziemia liczyła 250 milionów mieszkańców. 18 wieków później przekroczyła miliard. Na początku bieżącego stulecia wzrosła do 1 650 mln, by siedemdziesiąt lat później podwoić się do 3 632 mln. Przy dalszym utrzymaniu takiego tempa wzrostu w roku 2000 ludność kuli ziemskiej liczyć będzie 6,3 miliarda!

W krajach rozwiniętych gospodarczo bomba demograficzna jest na ogół pilnie strzeżona i wybuch jej nie grozi, gorzej jest w krajach rozwijających się. Dziennikarz amerykański D. S. Connery odwiedził Indie i na łamach pisma „Vista" podzielił się swymi wrażeniami. Nie była to jego pierwsza wizyta w tym kraju. Przypomniał jak w 1959 roku pewien wieśniak indyjski w Pendżabie powiedział do niego: „Będę miał dwanaścioro dzieci, ponieważ tyle przepowiada mi mój horoskop i nic na to nie poradzę".

W 1973 roku nastroje w Indiach uległy dużej metamorfozie. Czerwony trójkąt symbolizujący planowanie rodziny umieszczono we wszystkich zakątkach kraju. Upowszechnianiem kontroli urodzeń zajmuje się 136 tysięcy etatowych pracowników. Sterylizacji (oczywiście dobrowolnej) poddało się dotychczas 19 mln mężczyzn i kobiet. Przeszło 4 mln tzw. pętli założono małżonkom, które uznały, że wystarczy im tyle dzieci, ile już mają. Spośród 98 mln małżeństw w wieku rozrodczym „zabezpieczono" 12,7 mln, czyli 13 procent.

Ba! Indie są bodaj jedynym krajem na świecie, w którym urządza się... festiwale planowania rodziny. Latem 1971 r. zorganizowano taki festiwal w południowym stanie Kerala. W ciągu 31 dni poddało się sterylizacji 63 413 osób. Aby przyciągnąć masy do udziału w tych gigantycznych targach świadomego macierzyństwa i ojcostwa przeprowadzono kampanię propagandową, w której uczestniczyli dosłownie wszyscy miejscowi notable, politycy, lekarze, akuszerki, przemysłowcy, działacze społeczni, dziennikarze, pisarze, artyści, aktorzy i urzędnicy państwowi. Pochody ochotników, którzy zgłosili się do sterylizacji, maszerowały przez miasto razem z ludowymi zespołami tanecznymi. Przy akompaniamencie orkiestr wykrzykiwano hasła propagujące kontrolę urodzeń.

A jednak każdego dnia liczba ludności Indii zwiększa się o nowych 55 tysięcy obywateli, każdego miesiąca o przeszło milion. Między napisaniem a wydrukowaniem tego felietonu przybędzie pół miliona nowych Hindusów!

Jest nas coraz więcej, coraz ciaśniej robi się na świecie i coraz trudniej na nim oddychać. Obliczono, że w Tokio, w którym od zakończenia wojny liczba mieszkańców wzrosła o 8 milionów (!), na każdy kilometr powierzchni miejskiej spada codziennie 34 tony pyłów przemysłowych. W kolejkach podziemnych pył wprawdzie nie zagraża, ale są one przepełnione do tego stopnia, że w godzinach szczytu specjalnie w tym celu zaangażowani pracownicy wpychają na siłę do wagonów nowo przybyłych pasażerów. Pociągi, mimo że kursują w odstępach dwuminutowych, są przepełnione aż do 300 proc. pojemności!

Czytelnik czeka na pointę. Pozostawiam wolne miejsce. Każdy może sobie dopisać, cokolwiek chce. Paszkwile ostatnio mile widziane...

MAJ

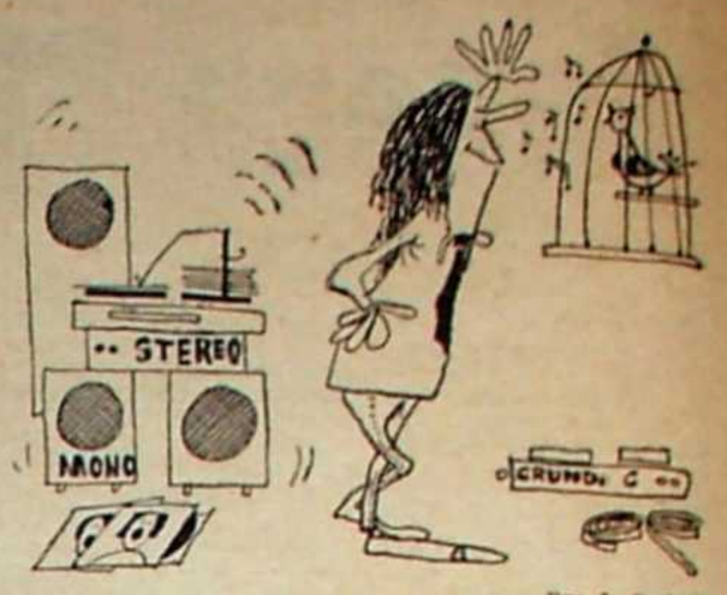

Rys. L. Szalecki

minuta myślenia

Spojrzenie w tym kierunku

WŁAŚCIWIE nie można powiedzieć, że „druga Polska" jest tematem. Jest asymptotą marzenia, które nawet ujęte w parametry planów ekonomicznych jest tak obszerne, że marzeniem być nie przestaje. System nowych treści ekonomicznych i społecznych sam zrodzony z pragnień będzie nowe pragnienia powodował. Nie da się całkowicie wyprowadzić z linii nakreślonych na konstruktorskich rysownicach, z najlepszych nawet technologii opracowanych na podstawie przyszłych wynalazków, z usprawnień w organizacji i zarządzaniu. Są to warunki konieczne. Ale walka o przyszłość to nie operacja chemiczna, w której wystarczy użyć określonego zestawu składników, by osiągnąć pożądany produkt. Dlatego nie, że powyższe zjawisko powstaje w sposób mechaniczny. W taki sposób marzenia zrealizować się nie da.

Czego jeszcze potrzeba? Czynników natury psychologicznej. One również składają się na budulce przyszłości. Tu by otwierała się łatwa sposobność do nawoływania o rozmach, o entuzjazm, o ofiarność. Warto z tej sposobności zrezygnować, jako że język rozmowy obywatelskiej w perspektywie zamierzeń określonych mianem „druga Polska" powinien być oczyszczony z terminów sloganowo uproszczonych.

Potrzeba natomiast mówić o spoistości społecznej, to znaczy o tym warunku, który rokuje powodzenie na skutek dobrze pomyślanych zasad współżycia i współdziałania. Cóż bowiem z kozietulszczyzny jednych, skoro drudzy pozostaną przy swoim powiedzonku o siedzeniu i leżeniu, za które i tak dwa tysiące się należy? I tu — znów — nie chodzi o doping pod adresem tych ostatnich, boć przecie i oni w końcu są przymuszani do normalnych zajęć, jako że całego czasu budowy nie da się przestać na sucie. Ale fakt, że podobna postawa na tyle zarysowała swoją możliwość, że zyskała własną „nomenklaturę", wydaje się być wystarczającym sygnałem. Poza tym „stoi się" i „leży się" nie tylko w charakterze pracownika fizycznego preferującego okresowe bumelanctwo. „Stoi się" i „leży się" również przez niezborność organizacyjną, przez nadmiar formalnych, a często wykluczających się przepisów, przez nieumiejętność i niefachowość, a więc brak kwalifikacji w danym zawodzie (co niekoniecznie musi się łączyć z takim brakiem w zawodzie innym).

Szpalty pracy tygodniowej zapełnione są rozważaniami o potrzebie poszukiwania nowych zasad moralnych (nie dość precyzyjnie ujętymi tytułem „Po upadku Dekalogu"), o usunięciu zakłóceń w komunikacji administracja-obywatel (w publikacjach ironicznie cytujących powiedzenie despotycznego Ludwika XIV „Państwo to ja"). Oczywiście, wszystko to są enuncjacje nadzwyczaj na czasie i to nie tylko teraźniejszym, bo również przyszłym, tym obejmującym wizję nowego układu stosunków, ale rzecz w tym, by szerokiemu zasobowi wypowiedzianych tam stwierdzeń znaleźć drogę wejścia w praktykę społeczną, inaczej zostaną jako jeszcze jeden przykład poszukiwania „formuły" publicystycznej. W atmosferze naszego życia takie niebezpieczeństwo istnieje. Jeśli się wadliwy stan rzeczy uda ująć trafnym określeniem, słabnie nawet z tymże stanem rzeczywista walka, jak by sam terminologiczny sukces był wystarczającym ciosem.

Swego czasu pewne ożywienie, a nawet powód do ukrytej dumy powodował zwrot „polski paradoks", mający rzekomo czynić nasz kraj atrakcyjnym dla turystów chętnie dających się zafrapować panującymi u nas osobliwościami. Jedną z tych osobliwości było, że nabywcą samochodu jest pracownik, którego budżet miesięczny nie przekracza trzech tysięcy złotych. Inną — że dostawy materiałów dla przedsiębiorstwa przemysłowego uzależnione są od operatywności zaopatrzeniowca, bądź od rozgałęzień jego drzewa genealogicznego. Jeszcze innym — że synowie wysoko sytuowanych rodziców urządzają sobie od czasu do czasu „skok" na kiosk celem zyskania środków finansowych na zakup wina z nalepką „pisaną patykiem".

Czas doprowadzić do całkowitego zaniku takich atrakcji turystycznych. Curiosum nie może być elementem naszego życia. Na świecie coraz więcej liczy się normalność. Uczestnicy wyjazdów zagranicznych i badacze zjawisk społeczno-kulturalnych informują, że najbardziej episjerskim krajem jest Francja — ojczyzna ekstrawagancji artystycznej. Jeśli nie przykład to do naśladowania to na pewno przykład na odseparowanie pewnych skłonności (czy może nawet powiedzieć: narowów) od praktyki życia społecznego. Nie możemy tolerować nieskuteczności, niespójności, niezborności w tym przekonaniu, że obraz psychiki polskiej i tak jest malowany barwami odsieczy wiedeńskiej, zwycięstwa pod Grunwaldem, insurekcji kościuszkowskiej. Ciąg dziejów to nie permanentna procesja z feretronami czcigodnych wydarzeń. „Drugą Polskę" musimy budować również w sobie. I zaczynając od siebie.

Nie mamy w tym względzie doświadczeń, tak postawiony cel wyróżnia się nowością. Ale jest na tyle istotny, by realizować go wszelkimi dostępnymi środkami. Jeśli się choć trochę przyda — nawet felietonem.

Ijon

Noty i notki

Był dzień, w którym — zgodnie z okólnikiem premiera — nie wolno urządzać zebrań czy narad. W Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej PWRN nie zastałem ani kierownika ani jego zastępcy, tak samo nie było dyrektora Zarządu Inwestycji i jego zastępcy w tymże wydziale. Sekretarki poinformowały mnie uprzejmie, że są na naradach. Pół godziny później w Wojewódzkim Zarządzie DIM dyrektora spotkałem na schodach, gdy wracał z narady, a nieco później wicedyrektora, także na schodach, gdy wychodził na inną naradę.

9 marca uczestniczyłem jako gość w posiedzeniu Senatu UMCS. Przyszedłem pięć minut przed oznaczonym czasem — jako drugi z kolei. Po sześciu minutach byli już wszyscy, około 30 osób, a rektor wygłaszał zagajenie. Gdyby tak wszędzie szanowano własny i cudzy czas...

Przeciętna frekwencja w lubelskiej izbie wytrzeźwień wynosi 30 osób na dobę, dzięki czemu nadwyżka wpływów nad wydatkami zasila kasę miejską. Tymczasem 8 marca, w dniu Święta Kobiet, izba miała tylko dwóch „pacjentów". W związku z tym Liga Kobiet w ramach walki z alkoholizmem podobno zamierza wystąpić z apelem, aby Święto Kobiet obchodzić przynajmniej w każdą sobotę. Natomiast kierownik izby wytrzeźwień szykuje memoriał w sprawie zlikwidowania jedynego, jak dotąd, Święta Kobiet.

Przedziwne rzeczy dzieją się w ramach tzw. przeceny. W lubelskim sklepie „Gracji" były w sprzedaży, tuż obok siebie, pewne ilości damskich kamizel z imitacji zamszu. Jedne były przecenione na 100 zł i znikały od ręki. Identyczne co do jakości, kroju, koloru, wielkości itd., ale wyprodukowane rok później od poprzednich, sprzedawano, a właściwie usiłowano sprzedać obok po około 330 zł. Wiszą więc nadal i zapewne w przyszłym roku zostaną także przecenione, bo ktoś tam trzyma się sztywno kalendarza produkcji, a nie zdrowego rozsądku.

W ramach popierania motoryzacji w Lublinie zlikwidowano kolejne miejsce do parkowania samochodów: po Okopowej (między Narutowicza a Hempla), Wróblewskiego, pl. Wolności, Krakowskim Przedmieściu (przy Sądzie Powiatowym) i parkingu przy PTTK przyszła kolej na część ul. Osterwy (przy PDT). W tym ostatnim przypadku nasza milicja drogowa nie popisała się życzliwością wobec kierowców. Znak zakazu ustawiono tylko od strony Krakowskiego, o czym nie mogli wiedzieć ci, którzy nadjeżdżali od strony ul. Narutowicza i — zgodnie z Kodeksem Drogowym — zjeżdżali na lewą stronę jezdni, do czego byli przyzwyczajeni od kilkunastu lat. Tymczasem w bocznych drzwiach wejściowych do PDT stał milicjant i w tej sytuacji nawet nie wszystkim nadążał wystawiać mandaty. Gdy wreszcie po tygodniu ustawiono i ten drugi znak, milicjant znikł.

Narzekamy często na opieszałe załatwianie korespondencji w radach narodowych. Tymczasem w trakcie poszukiwania materiałów do pewnego artykułu natknąłem się na przykład całkiem odmienny. Otóż 19 października 1972 roku PMRN w Lublinie podjęło uchwałę nr 142/411, którą Wydział Organizacyjny tegoż Prezydium wysłał do LSM jako obowiązującą już 14 października (pismo Or.II-0161/128/72). Trudno jednak polecać to jako przykład do naśladowania.

Jeden z dzienników lubelskich doniósł 6 marca po południu, że na Krakowskim Przedmieściu „wyszła niespodziewanie na jezdnię i została przejechana przez Żuka 70-letnia Anna Góra". Następnego dnia rano można było przeczytać w drugim dzienniku, że „71-letnia mieszkanka Lublina Anna G., wchodząc na jezdnię w miejscu nie oznakowanym dla pieszych, dostała się pod koła samochodu „Żuk". A czytelnik zastanawia się, czy chodzi tu o jeden tragiczny wypadek, czy też o dwa.

W wywiadzie dla „Życia Warszawy" (nr 57) Maryla Rodowicz powiedziała, że swego czasu na lekkoatletycznych mistrzostwach Polski zajęła trzecie miejsce w płotkach, ale zabroniono jej dalej trenować, ponieważ miała dwójkę z matematyki. Na co przeprowadzający wywiad IBIS westchnął współczująco: „Podejrzewam że dwója z matematyki niejeden talent już zabiła". No cóż, nie dawajmy dziewczynkom dwój, bo może kiedyś jedna z nich zostanie piosenkarką...

Chyba z okazji Święta Kobiet w prasie ukazało się wiele dziwnych tytułów. Oto przykłady: „47 dam w jednej talii" („Wiadomości" nr 10), „Łódź biega nago po świecie" („Odgłosy" nr 10), „135 funtów na każdy mały biust" („Głos Szczeciński" nr 56).

JOD

minuta myślenia

Spojrzenie w tym kierunku

WŁAŚCIWIE nie można powiedzieć, że „druga Polska" jest tematem. Jest asymptotą marzenia, które nawet ujęte w parametry planów ekonomicznych jest tak obszerne, że marzeniem być nie przestaje. System nowych treści ekonomicznych i społecznych sam zrodzony z pragnień będzie nowe pragnienia powodował. Nie da się całkowicie wyprowadzić z linii nakreślonych na konstruktorskich rysownicach, z najlepszych nawet technologii opracowanych na podstawie przyszłych wynalazków, z usprawnień w organizacji i zarządzaniu. Są to warunki konieczne. Ale walka o przyszłość to nie operacja chemiczna, w której wystarczy użyć określonego zestawu składników, by osiągnąć pożądany produkt. Dlatego nie, że powyższe zjawisko powstaje w sposób mechaniczny. W taki sposób marzenia zrealizować się nie da.

Czego jeszcze potrzeba? Czynników natury psychologicznej. One również składają się na budulce przyszłości. Tu by otwierała się łatwa sposobność do nawoływania o rozmach, o entuzjazm, o ofiarność. Warto z tej sposobności zrezygnować, jako że język rozmowy obywatelskiej w perspektywie zamierzeń określonych mianem „druga Polska" powinien być oczyszczony z terminów sloganowo uproszczonych.

Potrzeba natomiast mówić o spoistości społecznej, to znaczy o tym warunku, który rokuje powodzenie na skutek dobrze pomyślanych zasad współżycia i współdziałania. Cóż bowiem z kozietulszczyzny jednych, skoro drudzy pozostaną przy swoim powiedzonku o siedzeniu i leżeniu, za które i tak dwa tysiące się należy? I tu — znów — nie chodzi o doping pod adresem tych ostatnich, boć przecie i oni w końcu są przymuszani do normalnych zajęć, jako że całego czasu budowy nie da się przestać na sucie. Ale fakt, że podobna postawa na tyle zarysowała swoją możliwość, że zyskała własną „nomenklaturę", wydaje się być wystarczającym sygnałem. Poza tym „stoi się" i „leży się" nie tylko w charakterze pracownika fizycznego preferującego okresowe bumelanctwo. „Stoi się" i „leży się" również przez niezborność organizacyjną, przez nadmiar formalnych, a często wykluczających się przepisów, przez nieumiejętność i niefachowość, a więc brak kwalifikacji w danym zawodzie (co niekoniecznie musi się łączyć z takim brakiem w zawodzie innym).

Szpalty pracy tygodniowej zapełnione są rozważaniami o potrzebie poszukiwania nowych zasad moralnych (nie dość precyzyjnie ujętymi tytułem „Po upadku Dekalogu"), o usunięciu zakłóceń w komunikacji administracja-obywatel (w publikacjach ironicznie cytujących powiedzenie despotycznego Ludwika XIV „Państwo to ja"). Oczywiście, wszystko to są enuncjacje nadzwyczaj na czasie i to nie tylko teraźniejszym, bo również przyszłym, tym obejmującym wizję nowego układu stosunków, ale rzecz w tym, by szerokiemu zasobowi wypowiedzianych tam stwierdzeń znaleźć drogę wejścia w praktykę społeczną, inaczej zostaną jako jeszcze jeden przykład poszukiwania „formuły" publicystycznej. W atmosferze naszego życia takie niebezpieczeństwo istnieje. Jeśli się wadliwy stan rzeczy uda ująć trafnym określeniem, słabnie nawet z tymże stanem rzeczywista walka, jak by sam terminologiczny sukces był wystarczającym ciosem.

Swego czasu pewne ożywienie, a nawet powód do ukrytej dumy powodował zwrot „polski paradoks", mający rzekomo czynić nasz kraj atrakcyjnym dla turystów chętnie dających się zafrapować panującymi u nas osobliwościami. Jedną z tych osobliwości było, że nabywcą samochodu jest pracownik, którego budżet miesięczny nie przekracza trzech tysięcy złotych. Inną — że dostawy materiałów dla przedsiębiorstwa przemysłowego uzależnione są od operatywności zaopatrzeniowca, bądź od rozgałęzień jego drzewa genealogicznego. Jeszcze innym — że synowie wysoko sytuowanych rodziców urządzają sobie od czasu do czasu „skok" na kiosk celem zyskania środków finansowych na zakup wina z nalepką „pisaną patykiem".

Czas doprowadzić do całkowitego zaniku takich atrakcji turystycznych. Curiosum nie może być elementem naszego życia. Na świecie coraz więcej liczy się normalność. Uczestnicy wyjazdów zagranicznych i badacze zjawisk społeczno-kulturalnych informują, że najbardziej episjerskim krajem jest Francja — ojczyzna ekstrawagancji artystycznej. Jeśli nie przykład to do naśladowania to na pewno przykład na odseparowanie pewnych skłonności (czy może nawet powiedzieć: narowów) od praktyki życia społecznego. Nie możemy tolerować nieskuteczności, niespójności, niezborności w tym przekonaniu, że obraz psychiki polskiej i tak jest malowany barwami odsieczy wiedeńskiej, zwycięstwa pod Grunwaldem, insurekcji kościuszkowskiej. Ciąg dziejów to nie permanentna procesja z feretronami czcigodnych wydarzeń. „Drugą Polskę" musimy budować również w sobie. I zaczynając od siebie.

Nie mamy w tym względzie doświadczeń, tak postawiony cel wyróżnia się nowością. Ale jest na tyle istotny, by realizować go wszelkimi dostępnymi środkami. Jeśli się choć trochę przyda — nawet felietonem.

Ijon

Odpowiedzi redakcji

M. W. Lublin. Nie praktykuje się podpisywania wierszy kryptonimami. Poza tym tych wierszy i tak nie radzilibyśmy Panu publikować, ponieważ nie zawierają oryginalnych, ani nawet ciekawych treści. Przepraszamy za szczerość, ale sądów literackich nie daje się formułować językiem towarzyskiego konwenansu.

K. K. Lublin. W zasadzie na podstawie trzech wierszy nie moglibyśmy się podjąć wydania opinii o autorze. W tym wypadku jest jednak inaczej. Widać, że są to dopiero początki i to raczej nie rokujące zbyt wysokich osiągnięć w przyszłości. Obyśmy się mylili, ale teraźniejszość nie upoważnia do zbyt optymistycznych horoskopów.

J. D. Lublin. W Pana wypadku sytuacja jest zdecydowanie jasna. Wiersze są bardzo wtórne, nieambitne, zawierają nawet stylistyczne potknięcia typowe dla młodych ludzi zafascynowanych tym, że udało się im powtórzyć „karmin róż", czy „chaty rodzinnej próg".

J. D. Gliwice. Nie, to nie są fraszki. W tym rodzaju literackim potrzebny jest przede wszystkim dowcip. Co zaś dowcipnego jest w takiej „fraszce": „Czy to skaldowie, czy trubadurzy, wszyscy grają z hałasem za dużym". To komunał!

G. M. Lublin. Odpowiadamy w tej rubryce tylko po to, by uczynić zadość Pana życzeniu. Sami wolelibyśmy odczekać trochę i po upływie tego czasu coś wydrukować, ponieważ nadesłany materiał tę możliwość zapowiada. W ten sposób postawienie sprawy chyba obu stronom odpowiada.

S. B. Nowa Huta. Jeśli mamy być szczerzy i dać odpowiedź, która by nie była zwykłym unikiem ani podtrzymaniem na duchu wbrew faktom, musimy wypowiedzieć słówko „niestety". To są utwory nie tylko słabe, nie tylko nieudane, ale wykazujące wprost brak orientacji w dziedzinie poezji. Pisze Pani tak, jak by niczego nie przeczytała z „Życia Literackiego", „Kultury", „Nowego Wyrazu". Nie namawiamy do biernego naśladownictwa, ale przecież czymś się dzień dzisiejszy w poezji wyróżnia. Już dawno skończył się okres literackiego chałupnictwa. Jeśli Panią interesuje to zajęcie, radzimy radykalnie zmienić stylistykę, obrazowanie, frazeologię, całe w ogóle podejście do spraw poezji. Dopiero po tym będzie Pani mogła liczyć na poważne potraktowanie swoich wysiłków, a my — coś powiedzieć. Przepraszamy za może nazbyt chropowaty ton tych kilku słów, ale zdecydowane postawienie na „inaczej" przyda się przede wszystkim Pani jako autorce.

J. S. Wasilków. Mamy takie wrażenie, jak by się Pan rozwijał w trakcie pisania nadesłanych wierszy. Końcowe w tym szeregu są zdecydowanie lepsze od pierwszych. W związku z tym darujemy sobie radę, by nie pisać na temat wiosny, która jest opisana niemal wszechstronnie, bo widzimy, że niebezpieczeństwo wkraczania w utarte koleiny Panu nie grozi. Coś z tego zatrzymujemy w redakcyjnej tece. Nie możemy natomiast związać się słowem honoru co do terminu druku.

A. B. Suchowola. Jest to typowe „muzykowanie domowe", do którego nie można stosować kryteriów koncertu. Czy te wiersze nie zawierają swoistego nastroju? Czy nie posiadają jakiegoś wyrazu? Owszem, zawierają i posiadają, ale podane w kręgu kameralnym, towarzyskim. W druku wykazałyby wiele swoich niedostatków, dlatego nie radzimy myśleć o tym rodzaju publikacji.

T. C. Hrubieszów. Nie możemy wiązać się odpowiedzią na temat utworów, których jeszcze nie czytaliśmy. Owszem, tematyka okupacyjna jest wciąż jeszcze interesująca i aktualna, ale nie możemy przewidzieć, jak zostanie ujęta pod pańskim piórem. Zamiast zapytania wolelibyśmy gotowy tekst. Za wyrazy uznania dotyczące niektórych naszych publikacji serdecznie dziękujemy.

P. R. Włodawa. Zadaje nam Pan za dużo pytań. Żadna redakcja nie jest literacką wyrocznią. Sądzimy, że w ten sposób chce Pan przerzucić na nas wysiłek związany z Pana pracą. Nic z tego. Kiedy otrzymamy teksty, będziemy mogli coś powiedzieć.

Rys. A. Stok

Walenia Sulima

smak miłości i łez

Można powiedzieć, że Zuzanna bez cienia niedomówień wyznała swą miłość Mariuszowi. Stało to się w katowickiej restauracji. Mariusz, niestety, nie miał czasu ustosunkować się do tego wydarzenia: był właśnie umówiony z Basią. Chciał na to spotkanie wziąć Zuzannę, bał się zostawić ją samą w obcym mieście. Ta jednak energicznie zaprotestowała. Akcja naszej powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante", toczy się dalej.

(11)

— Zuzanno, panno Zuziu, proszę pójść ze mną!

— Nie maltretuj mnie, Mariuszu. Zrozum moją sytuację...

— Potem porozmawiamy.

— Kiedy potem? — pytała przez łzy.

— Wieczorem. A teraz chodź, nie zostawię cię przecież samej.

— To chociaż powiedz, że mnie lubisz, że ci choć trochę na mnie zależy.

— Oczywiście, że lubię, bardzo lubię. No, idziemy.

Spóźnili się aż o 25 minut. Przeszli wokół pomnika, Basi nie było. Mariusz był wściekły. Na siebie, na Zuzannę, na cały świat.

— To niemożliwe — powiedział. — Ona musi być. Przecież mogła zaczekać. No powiedz sama! — Oczekiwał potwierdzenia. Zuzanna starała się go pocieszyć, ale w duchu była zadowolona. Jeszcze przed kilkunastoma minutami z trudem hamowała łzy, a teraz czuła, jakby coś się w niej przełamało.

— Może jej się coś stało? — stwierdziła, ale gdy spojrzała na przerażone oblicze Mariusza, zrozumiała że palnęła głupstwo.

— Co się jej mogło stać? Boże, jakiś wypadek!

— No nie, po prostu rodzina ją zatrzymała. Zresztą, ja wiem co? Masz telefon jej stryjków?

— Nie, po co był mi potrzebny? Co robić, co robić?

— Tak bardzo ją kochasz?

— Nie o to chodzi w tej chwili. Po prostu nie wiem, co się stało.

— A jeśli była i już poszła? Spóźniliśmy się dwadzieścia minut. Mam pomysł: chodźmy do hotelu. Ona przecież wie, gdzie zatrzymaliśmy się, to znaczy, gdzie ty zatrzymałeś się.

— Gdzie zatrzymaliśmy się. Hotel mamy ten sam. Oczywiście, że wie.

— Będziemy więc czekać w hotelu. Dobrze ci radzę. Innego wyjścia nie ma. Już minęło w pół do szóstej...

W hotelu wypełnili karty meldunkowe. Mariusz otrzymał pokój jednoosobowy, Zuzannie zarezerwowano miejsce w dwuosobowym. Oba pokoje były bardzo blisko siebie.

— Umyj się po podróży. Jak pozwolisz, wpadnę do ciebie za kilka minut. Nie lubię samotności — powiedziała.

Prysznic podziałał orzeźwiająco. Mariusz wycierał właśnie ręcznikiem szyję, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Chwileczkę — zawołał — tylko naciągnę spodnie...

Na progu stała Basia.

— Basieńko najdroższa!

— Mariuszu mój kochany! Tak się cieszę, że jesteś. Wyobraź sobie, spóźniłam się. Nie znam dobrze miasta, nie mogłam złapać żadnej taksówki. Byłam zrozpaczona. Umarłabym chyba ze zmartwienia, gdybym cię tutaj nie zastała. W recepcji dali mi numer pokoju. Ale ładnie tu mieszkasz! Komfort. Ciekawe jestem, ile wybuliłaś na noc? Zresztą co cię to obchodzi? Przecież nie płacisz z własnej kieszeni. Ho, ho! Wielki pan zaopatrzeniowiec! A czy przynajmniej udało ci się wszystko załatwić?

— Wszystko. Dosłownie wszystko. Szczerze mówiąc, mógłbym nawet dzisiaj wracać. Kierownik miał dobry pomysł, że delegował też Zuzannę. Wiesz, kobiecie łatwiej. Gdzie było najtrudniej, to ona referowała.

— I na pewno porwali ją na kawę z kontaktem. Mój tata umie takie sprawy załatwiać, chociaż nie nosi spódnicy.

— Nie, na kawę nikt Zuzanny nie porwał.

— A co się z nią stało? Już wiem: kupiłeś jej na pewno bilet do kina!

Nie wiedział, czy żartowała, czy mówiła prawdę. Słowa Basi ubodły go jednak trochę. Sam nie wiedział, dlaczego. Ona tymczasem mocno objęła go za szyję, przywarła do niego z całej siły.

— Obejmij mnie, obejmij — szeptała. — I pocałuj, pocałuj. Już się tak stęskniłam. Taka jestem z tobą szczęśliwa, taka szczęśliwa.

Nie usłyszeli, przytuleni do siebie, delikatnego pukania. Mariusz instynktownie jednak wyczuł, że ktoś na niego patrzy. Otworzył oczy. Jego oczy spotkały się z przerażonymi oczyma Zuzanny.

Nie cofnęła się. Stała w drzwiach jak skamieniała. Już wielokrotnie wyobrażała sobie, jak Mariusz obejmuje i całuje Barbarę, ale to było co innego niż tak stać naprzeciwko ukochanego, który trzyma w ramionach inną. Tysiące myśli kłębiło jej się w głowie, a wśród nich ta jedna, natrętna: „Będę walczyć o ciebie, Mariuszu. Zbyt wielka jest moja miłość, abym mogła skapitulować."

I Basia zorientowała się, że nie są sami. Odwróciła głowę i szybko cofnęła się o krok.

— Bardzo prosimy, panno Zuzanno! — powiedziała spokojnym głosem.

(cdn)